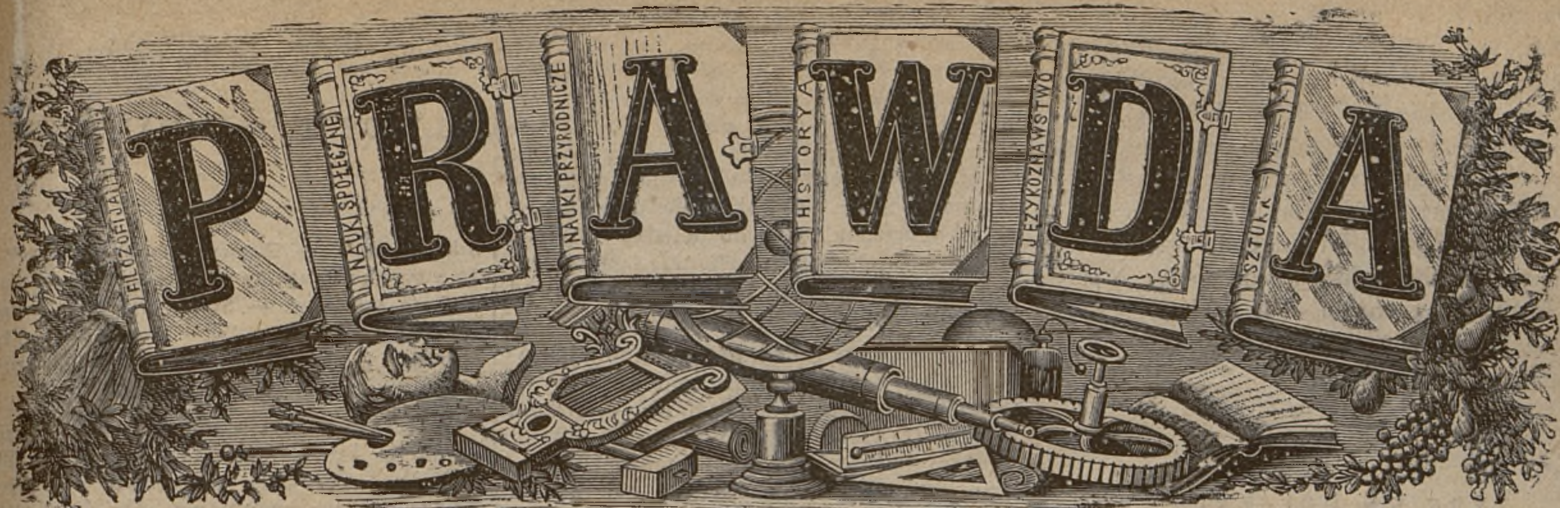
№ 35. Warszawa, dnia 1 Września (20 Sierpnia) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WŁOSKI KSIĘŻYC.

Wielkim uczynić może człowieka jedynie wielka idea. Gdyby życie ludzkie miało dla dokonania swych dzieł tyle czasu, ile ziemia, w ciągu długiego szeregu wieków zdołałoby z ziaren piasku usypać wysokie góry, a z kropel wody zlać morze. Ale trwanie jego jest bardzo krótkie; musi więc ono nadzwyczajnie wytężać swe siły, jeśli chce wznieść się do miary olbrzymiej. Ufając sobie i wierząc głosom prasy rozdymającej aż do pęknięcia bohaterów chwili, Crispi, włoski minister spraw zagranicznych, zapewne sądzi, że stoi obok Cavoura i bez wspinania się na palcach patrzy mu w oczy. Od lat paru bowiem jeździ do ks. Bismarka, miewa z nim poufne narady, intryguje dziennik swemi podróżami, bywa napastowany przez reporterów, wobec których milczy tajemniczo, przez parę tygodni zaprząta telegraf — czyż to nie dosyć dowodów znaczenia i... geniuszu? Tymczasem w ustroniu, zdala od wrzawy, pisząca swą księgę muza historyi niewątpliwie albo pomija p. Crispiego, albo zaznacza dla potomności, że był to mały kramarz polityczny. Wartość swoją wykazał właśnie w zatargu z Francyą, którym dumnie wieńczy swe czoło.

Czytelnikom naszym znany jest w ogólnych rysach przedmiot sporu. Włochy zajęły Massawę, zostającą pod zwierzchnictwem Turcyi i opieką mocarstw europejskich, strzegących w niej swoich interesów za pośrednictwem t. zw. „kapitulacyj." Crispi uznał tę zdobycz za nienależącą do nikogo, a zawładnąwszy nią, zniósł owe „kapitulacye." Przeciw tej samowoli zaprotestowała bezpośrednio dotknięta Turcya, następnie—zagrożona Francya, a do nich przyłączyła się Rosya. Pomiędzy ministrem włoskim a francuskim (Gobletem) wywiązała się z tego powodu drażliwa polemika, w której pierwszy musiał być grubianinem, bo nie miał racyi, a drugi mógł być grzecznym, bo ją miał.

Jaką? Pomimo że gadzinowa prasa berlińska, dogadzając sprzymierzeńcowi swego pana, splątała sprawę krętaniną sofistyczną, nie zdołała zakryć prawdy, która świadczy za Francyą. Były minister francuski Flourens ogłosił w *Revue britanique* szereg dowodów urzędowych („Rectification, Les Italiens à Massavah"), przekonywających, że Crispi kłamie i przeczy oświadczeniom swego własnego rządu. I tak twierdził on, że Massawa nie była posiadłością niczyją. Otóż kiedy ją zajęto, 5 lutego 1885 r., natychmiast (10 lutego) Porta i Egipt wystąpiły z notą, w której to przywłaszczenie nazwały „aktem korsarskim" i którą zakończyły następującem oświadczeniem: „Rząd otomański uważał za swój obowiązek zaprotestować w Rzymie przeciw temu zamachowi na jego władzę w wieku ucywilizowanym, w którym traktaty stanowią podstawę stosunków międzynarodowych." Na to odpowiedział rząd włoski, że „zajęcie punktów strategicznych nad brzegiem morza Czerwonego nastąpiło dla porządku publicznego w interesie wszystkich mocarstw i że prawa zwierzchnicze Porty nie są przez to bynajmniej dotknięte." Ambasadorowie podziękowali za to uspokojenie królowi Humbertowi, którego rząd upewnił ich, że zajęcie Massawy będzie tylko *czasowem* i w niczem nie zmieni stosunków dawnych, a na dowód tego chorągiew włoska będzie powiewać *obok* egipskiej. W grudniu tegoż roku flagę egipską zdjęto, a załogę do kraju odesłano, ale znowu na skargę Porty odpowiedziano, że o swe prawa może być spokojną. A więc Massawa miała swego pana, który o nią ciągle się upominał — czyli — Crispi dopuszcza się fałszu.

Dalej Flourens przedstawieniem wypadków i ustępami z not, które sam pisał lub odbierał, dowodzi mu nieprawdy twierdzenia, jakoby rząd francuski nie miał i nie bronił swych interesów w Massawie. Miał je i bronił, a co ważniejsza — otrzymywał od rządu włoskiego wyraźne przyrzeczenia sprawiedliwej dla nich względności.

Szczegółów długiego wywodu przytaczać nie będziemy, gdyż one czytelników naszych nie obchodzą; zajmuje ich tylko ogólne stanowisko Włoch w sporze z Francyą. Dzięki Crispiemu, jest to stanowisko — jak się wyraziła kiedyś nota turecka — zuchwałego korsarza. I cóż mu dodało śmiałości wobec Francyi, której siła powinnaby mu odebrać ochotę do buńczuczności? Mocne plecy ks. Bismarka. Jest to jedyny grunt, na którym Crispi oparł swą odwagę. Ale zdaje się, że patronowi nie przypadła do smaku zuchwałość protegowanego, gdyż — jak utrzymują gazety — wezwał on go do siebie po to, ażeby mu w cztery oczy nieco rożki przytrzeć. Co tam kanclerz niemiecki Pindterowi krzyczeć głośno każe, to inna kwestya; ale że on po cichu przyznaje słuszność francuzom, to nie ulega wątpliwości. Prawdopodobnie więc szepnął junakowi włoskiemu: w korsarstwo bawić się możesz, ale rozprawom daj pokój, bo cię dowodami pobiją i wykażą, żeś zabrał cudzą własność, o czem tak dobrze wiesz, jak i ja. Zresztą, może mu poradził niedrażnienie przeciwniczki i unikanie starcia, które... Wiadomo, jak ks. Bismark zapobiega, ażeby szydełkowa robota polityki europejskiej gdziekolwiek pruć się nie zaczęła.

Politycy, umiejący odczytywać hieroglify min dyplomatycznych, twierdzą, że Crispi wrócił z folwarku kanclerskiego niezadowolony. Patrzy jednak ciągle, jak człowiek wielki, i rzuca wkoło siebie spojrzenia Cavoura. A tymczasem jakże niewiele potrzeba, ażeby po Crispim tyle zostało na powierzchni życia współczesnego, ile

po fali rozkołysanego jeziora! Ani on sam, ani Włochy niech się nie łudzą, że mają w nim znakomitego polityka: umie on bowiem tylko skubać drobne korzyści, zbierać okruszyny pod stołami możnych tego świata, zręcznie wyzyskiwać ich łaskę dla zysków doraźnych; ale stwarzać rozległe plany, rosnąć w wielkiej idei — to widocznie przechodzi jego rozum i siły. Niczły księżyc przy słońcu — ot i cała jego wartość. Własnem światłem nigdy nie zabłyśnie, bo go nie ma.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* wykazaliśmy, że Boulanger, pomimo swych wszystkich niecnót, jest koniecznym wytworem obecnego położenia Francyi. Od czasu, jak jej ster zaczął przechodzić w coraz inne i bezsilne ręce, od czasu, jak ona stała się polem walki rozżartych przeciw sobie samolubstw, jak jej płaszcz zaczęli rozdzierać i między siebie kawałkami dzielić ludzie własną tylko korzyścią pobudzani, musiała dojrzewać i w coraz szersze koła wszczepiać się idea stałego ładu, uczucie niechęci do kierowników dotychczasowych. Jakiś publicysta słusznie zauważył, że zamęt obecny ma swe źródło nietylko w stosunkach politycznych, ale i w naturze psychicznej narodu francuskiego, który nie znosi długo jednostajności, ciągle łaknie zmian, nowych widoków i zadowoleń. Bez wątpienia, ten niespokojny temperament, zmienny charakter, duch, rodzący coraz inne pomysły, który gdzieindziej wytwarza zadziwiającą oryginalność i rozmaitość, działa również i w tem wrzeniu. Dość przecie przypomnieć sobie, że w ciągu ostatniego wieku Francya nie miała ani jednego rządu, któryby dożył lat 20. Ale niezaprzeczając wpływu czynnikom psychicznym, uznać musimy, że sama niezgoda stronnictw i nieudolność chirurgów politycznych w wycinaniu przeróżnych nowotworów dawały dostateczne oparcie każdemu, kto zamierzył dokonać operacyi radykalnej. Jest to nieszczęściem, że podjął się jej oszust, ale zachodzi pytanie, czy ktoś inny bez szarlatanczyi pozyskałby zaufanie. Warchoły z gatunku Boulangera mają tę śmiałość, którą posiada geniusz, a na którą nigdy nie zdobędzie się człowiek uczciwy, rozumny, lecz mierny. Bezczelnością, zuchwalstwem naśladuje mężów „opatrznościowych," a ponieważ znajduje gotowe dla nich posłannictwo, więc nie potrzebuje sam go tworzyć. Kilkakrotnie dowiódł, że jest kuglarzem; jeśli do władzy dojdzie, obnaży całkiem swą nicość, ale tymczasem chodzi w uroku idei ratowania kraju od rozkładu.

Zwycięztwa w trzech okręgach powinszowała mu, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, służebnica ks. Bismarka — *Nordd. Allg. Ztng.* Oświadczyła ona, że Boulanger rządzący wcale Niemiec nie przeraża, owszem, będą one mogły łatwo żyć z nim w zgodzie. Z tych słów prasa europejska natychmiast zrobiła sobie zagadkę: czy ta dama mówi poważnie, czy też swą przyjaźnią chce skompromitować eks-generała. Nam wszystko to jedno.

Włochy i Francya, ilustrując swój zatarg, kazały kilku statkom wojennym wypłynąć w pełnym rynsztunku na morze. Prawdopodobnie będzie to tylko „demonstracyjna" wycieczka, która rozerwie znudzonych wypoczynkiem marynarzów i da dziennikom, siejącym postrach, sposobność do krótkotrwałego dzwonienia na trwogę.

Niedawno ks. Bismark powołał do siebie przywódcę narodowo-liberałów niemieckich Beningsena. I ta, jak każda podróż do Friedrichsruhe wywołała mnóstwo domysłów, z których najuparciej utrzymywał się ten, że kanclerz chce tym kawałkiem liberalizmu odnowić ministeryum. Skończyło się jednak na skutku daleko skromniejszym: p. Beuningsen został prezesem prowincyi hanowerskiej.

Hiszpania wre skandalem, który prawdopodobnie będzie miał poważniejsze następstwa: w Madrycie pewnego kapitalistę zamordował syn, siedzący w więzieniu i wypuszczony wraz z innymi tajemnie przez dyrektora na roboty złodziejskie i rozbójnicze. Ponieważ sądy w Hiszpanii są przekupne, a oskarżonych bronią silne wpływy, więc prasa ujęła to odkrycie w swe ręce i domaga się w imieniu narodu oczyszczenia stajni Temidy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BAŁTYKU.

III.

Szkoły średnie. — Historya reformy gimnazyów. — Zapatrywania delegatów ministeryum.—Nowa era.— Obfitość systemów. — Szkoły prywatne. — Radni rewelscy w roli pedagogów. — Energia szlachty kurlandzkiej — Jej egoizm. — Statystyka gimnazyów i szkół realnych.

Znaczny zastęp szkół średnich, niemieckich w kraju nadbałtyckim za lat kilka częściowo zaniknie, częściowo zaś przyoblecze się w formę nową. Działalność administracyi, usiłująca zrównać kraj ten z pozostałemi częściami państwa ruskiego, oczywiście przedewszystkiem natrafić musiała na wał szkół ludowych i średnich po za którym, zwykłym rzeczy biegiem, rozwijała się głównie niemiecka, odśrodkowa, po części germanizacyjna robota dotychczasowego samorządu. W wielkim błędzie byłby ten, ktoby przypuszczał, iż reforma, obecnie przedsięwzięta, spadła z nieba, niespodziewanie, dzięki zwrotowi nagłemu zapatrywań w sferach, o kierunku nawy państwowej stanowiących. Bynajmniej. Jak Piotr W. nie był pierwszym z władców ruskich, budującym potęgę swego mocarstwa na posiadaniu wybrzeży bałtyckich, tak twórcy ukazu z maja r. 1887, według którego język ruski ma być wykładowym w szkole tutejszej, nie są pierwszymi w uznaniu potrzeby zrusyfikowania szkoły nadbałtyckiej i przedsiębrania w tym kierunku energicznych postanowień. Tylko że wyprawy kniaziów ruskich, jak i wielka wojna cara Iwana Groźnego, spotkały przeszkody nie dopokonania, które stałe dążenie Rosyi nad Bałtyk na czas jakiś odwlekły. To samo objawia się w sprawie reformy szkół, która na papierze od dawien dawna była uskuteczniana, a w rzeczywistości trwał stan dawny, utrzymywany staraniem wszechmocnych wówczas *landsmannów*; dziś również sam fakt wykonania reskryptu polecono uznaniu ministeryum oświaty. Atoli społeczeństwo ruskie wyrwało się z pod wpływu długotrwałego niemieckich karyerowiczów, dalekich od podzielania i pieszczenia dośrodkowej, ściśle państwowej idei rdzennie ruskich mężów stanu; to też

---

2)

POWÓDŹ

przez

Hermana Heiberga.

Czy sioło istnieje jeszcze? Ludzie schronili się pewnie na dachach? Spienione nurty porozrzucały pewnie łódki i czółna? Jak wysoko sięgać już może woda w pokoju brata, w całem mieszkaniu? Oczyma duszy widziała wszystko. Wewnątrz domu na pluszczących falach pływa szkatułka; stała ona przedtem, tuż obok portretów jej dobrych rodziców, na biurku brata. Książki, przyrządy do pisania, rozmaite drobiazgi pochłonęła pewnie woda. A kot? Kot siedział skulony na strychu. Żyjące jeszcze stworzenie instynkt przyrodzony ostrzegał o niebezpieczeństwie i bliskiej śmierci. Iznowu przypomniał się jej Ernest, chłopi, czarny kogut sąsiada, potem jej własna komoda, ulubiony pokoik, dom, i wreszcie ona sama, ukryta w kościele. Ach! A może i kościół nie ocaleje? Prawdopodobnie. Jak dziko wyła i sapała burza, jak łakomiła się w tej chwili na okna!

Wtem — krzyk, krzyk okropny! Wyszedł on z piersi dziewczęcia. Z żałosnym trzaskiem pękła szyba w oknie i zaraz wichura wionęła straszliwym swym oddechem w przybytek boży. Ale nie dosyć na tem. Rzekłbyś, że wszystkie widma, drzemiące od wieków po kątach i kryjówkach kościoła, zbudziły się naraz. Tam coś łomoce, tu jęczy, a tynk ze świstem złowrogim odpada ze ścian. Z krótkim i ostrym hukiem odskakując, jak gdyby przed obcą jakąś siłą uciekał, uderzył niewidzialny przedmiot w posadzkę kościoła, poczem wrzaskliwe „hu-u-u-hu" przemknęło przez mury całego gmachu, jak gdyby gromada czarownic zebrała się i rozpoczęła piekielny swój harmider.

Lianę przebiegały febryczne dreszcze. Przy niej, również drżąc trwożliwie, stała latarka; płomyk chwiał się rozpaczliwie za mętnem szkłem; chleb i resztka szynki leżały, jak wzgardzone ofiary, na stopniach ołtarza.

Lecz cóż to? Wycie burzy rozdarły nagle krótkie, dobitne, błagające o pomoc strzały działowe. Okręt na orkanie! Okropne! Tam ludzie walczą jeszcze i wierzą w ocalenie. Rozbici, rozpierzchli, pogrążeni w nieprzebitym mroku, zbłąkani — odżyli może na nowo, ujrzawszy maleńkie światełko, błyszczące nad zatopioną wyspą!

I znowu zagrzmiało dobitnie w otchłani nocy. Jeszcze dwa strzały, strzały rozpaczy, modlitwy, trwogi i szału.

I biedna istota, skulona na stopniach ołtarza, zapomniała na kilka chwil o własnej katuszy, co jej piersi rozsadzała. Jej myśli pobiegły za tamtymi i z nimi się połączyły. Mogłaby im pomódz! Tak, czyż nie mogłaby im nieść ratunku?

A gdyby tak dostać się po schodach do wieżyczki i w wązkiem okienku, wybitem w murze, postawić latarkę? Czyż nie byłaby to prawdziwa latarnia morska w pomroce dzikiej nocy?

Zdało jej się, że widzi, jak nadpływa okręt i spuszcza szalupy — już, już otwiera wrota kościelne, fala ludzi wdziera się do wnętrza — uratowani!

Uratowani? Tak. Lecz żywność? Dni mogłyby przecież płynąć bez końca, zanim nadeszłaby pomoc?

Pomoc? Ale skąd? Albożona sama nie jest bez pomocy?

Ach! toć ma jeszcze chleb, ma możność życia...

Wreszcie złamana i wyczerpana, upadła i leżała, jak porażona. Nie mogła ruszyć się. Chciała się podnieść, pragnęła powziąć jakieś postanowienie, mniejsza o to, czy zbawienne, czy niedorzeczne, ale członki nie miały władzy. A tu coraz dziczéj, coraz wścieklej świszczy wiatr przez rozbitą szybę i stara się gwałtem wedrzeć w silny budynek, który dotąd wszystkim jego podstępom zwycięzko stawiał czoło.

dziś reforma zostanie wykonaną, choć też nie tak rychło, jak niektórzy przypuszczali. W r. 1820 po raz pierwszy wprowadzono naukę języka ruskiego w ilości 19 godzin tygodniowo do ówczesnych 5-klasowych gimnazyów. W r. 1857 wydano rozkaz, aby nauczyciele w ciągu trzech lat o tyle posiedli język państwowy, iżby w nim zdolni byli nadal wszystkie przedmioty wykładać. W dwa lata później owczesny kurator dorpackiego okręgu naukowego stara się o przedłużenie tego terminu na trzy lata jeszcze, ale bezskutecznie. Żadnych innych rozkazów nie było. Zatem tylko wpływom władz wykonawczych przypisać należy półwiekowe istnienie szkół na niezmienionych zasadach. Tylko w r. 1860 zwiększono liczbę godzin, poświęconych nauce języka państwowego, gdy gimnazya z 5 na 7-klasowe przekształcono. Mieliśmy sposobność czytać dwa poufne sprawozdania dostojników, bardzo już dawno delegowanych dla wydania opinii o szkolnictwie tutejszem. Obaj z największym uznaniem odzywają się o tych szkołach. Jeden uważa za konieczne utworzenie gimnazyów ruskich, uposażonych takiemi siłami, żeby mogły współzawodniczyć z niemieckiemi. Ten plan wywołał powstanie kilku czysto-ruskich zakładów naukowych. Nie zdołały one jednak odciągnąć młodzieży od szkół krajowych, sprawdzając po części zdanie drugiego rewizora, który przypuszczał, iż takie szkoły jeno dyskredytować mogą; natomiast domagał się znacznego zwiększenia zakresu nauki języka ruskiego. Zwyciężyło zapatrywanie, iż najskuteczniejszą będzie ryczałtowa reforma szkół. Obecnie nauka geografii, historyi Rosyi oraz języka ruskiego odbywa się wszędzie po rusku. Dalsza działalność reformatorska obecnego kuratora, p. Kapustina nie ma już kierunku tak stanowczego. W niektórych szkołach język wykładowy ruski jest wprowadzany klasami, w innych — przedmiotami, wreszcie są i takie, gdzie obie metody naraz zastosowano. Najszybciej dokonywa się przemiana w szkołach rządowych (*Gouvernements, Krons-Gymnasium*); mniej skutecznie w miejskich lub utrzymywanych przez stany. Bo też nie mały kłopot stwarzają tutaj przedstawiciele samorządu, którzy, jak chce *Rižskij Wiest.*, przyjęli bez współczucia jasny program reform z powodu, iż nie dosięgli trzeźwości poglądów, pożądanej wobec interesów państwa. Gminy miejskie dla zachowania języka niemieckiego jako wykładowego, przekształcają swe gimnazya i szkoły elementarne na t. zw. „prywatne." Ciekawą była w tym względzie rozprawa w radzie m. Rewla, która zagrożone reformą gimnazyum i szkołę realną postanowiła zamienić od r. b. na prywatne. Wnioskodawca radny p. Heybel opierał się. Język państwowy pragnie on widzieć szeroko uwzględnionym, jako przedmiot oddzielny, tak, by uczniowie po ukończeniu szkół, z łatwością zdobyć zdołali prawa szkół rządowych przez zdanie odpowiednich egzaminów. Jeszcze radykalniej postąpiło sobie ziemiaństwo (*Ritterschaft*) kurlandzkie, odmawiając szkołom publicznym, ulegającym reformie, wsparć, udzielając je w większych rozmiarach szlachcie, dla dawania dziatwie domowego wykształcenia. Ten wysoce samolubny, koteryjny postępek pozbawić może, wrazie niemożności uzupełnienia kosztów przez rząd, młodzież innych klas społecznych—wszelkich szkół, wszelkiej oświaty. Na zarzuty odpowiadają: gdzie las rąbią — wióry lecą. Obecnie istnieje tutaj 15 gimnazyów i 5 szkół realnych, z tych 5 w Rydze, po 3 w Dorpacie i Rewlu, 2 w Mitawie i po jednem w Pernowie, Arensburgu, Birkenruh, Felinie, Libawie i Goldingen; w tej liczbie czysto ruskich tylko trzy.

A. Rosset.

DZIENNIKARSTWO WIEDEŃSKIE.

Do jednego z najbardziej znanych składów galanteryjnych w Wiedniu wszedł pewnego dnia ulubiony i wzięty dziennikarz, który tak dobrze słynął z dzielności swego pióra, jak i z prawości charakteru. Wybrał on kilka dywanów, kazał je zapakować i wymieniwszy nazwisko wraz z adresem, prosił o odesłanie paczki i rachunku do domu. Lecz subjekt uśmiechnął się dziwnie i rzekł:

— Och! rachunek jest zupełnie niepotrzebny.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony gość.

— Nie przywykliśmy, żeby panowie dziennikarze płacili.

Rzućmy zasłonę na koniec tej sceny, prawdziwej i wziętej z życia. Jej początek bowiem wystarcza zupełnie do scharakteryzowania opinii, jaką ogół wiedeńczyków żywi o własnej prasie. Złodziej, kobieta publiczna, brudy, ściekające do miejskich kanałów... i dziennikarz, w oczach mieszkańca stolicy naddunajskiej, stoją w jednym i tym samym rzędzie. Doszło do tego, że człowiek, żyjący z pióra, nigdy nie przyznaje się do swego zawodu, gdy zawiera znajomości z kimś obcym; nie chce bowiem ujrzeć na jego twarzy wyrazu wstrętu lub szyderstwa.

A przecież niedawne to jeszcze czasy, gdy społeczeństwo w pokorze i czci schylało głowę przed owym stanem, z niego wybierało swych wodzów i przewodników. Dzisiaj błoto skalało szaty kapłańskie, a przywódca z przed laty czterdziestu spadł w szeregi wyrzutków i paryasów. Źródeł owej przemiany potrzeba szukać w sprzedajności dziennikarstwa wiedeńskiego. Za mniejszą lub większą sumę można kupić każdego: naczelnego redaktora, fejletonistę, krytyka teatralnego i reportera. Pierwszy i ostatni zazwyczaj są najgroźniejszymi i najbardziej wymagającymi. Tamtemu bowiem opłacać się muszą banki, koleje żelazne, towarzystwa akcyjne, ambasady obcych mocarstw, stronnictwa polityczne własnego kraju, ażeby milczał i nie wyciągał na światło dzienne rozmaitych... niewłaściwości. Gwara miejscowa dla podatku tego wynalazła nawet osobną nazwę: *schweiggeld* (stulgębne). Reporter poluje na skandale prywatne, oskubuje z piórek kupca, mającego na sumieniu rozmaite grzechy, męża, utrzymującego kochankę, żonę, nie zbyt wierną i odwiedzającą z przyjaciółmi gabinety restauracyjne. Krytyk malarski bierze od *przychylnych* mu artystów obrazy, sprawozdawca teatralny każe aktorkom za pochwały wynagradzać się w pieniądzach lub w naturze, krytyka literacka wreszcie ma osobne pod tym względem prawidła.

Oto ich przykład.

Skoro wydawca przyśle do redakcyi książkę świeżą, umieszczają jej tytuł w spisie bibliograficznym. Jeden egzemplarz gazety, gdzie odpowiednie miejsce podkreślono niebieskim ołówkiem, a tuż obok przylepiono zawiadomienie o cenach ogłoszeń, administracya wysyła wydawcy. Ten wie, co to znaczy, i zwykle odwrotną pocztą przesyła pieniądze na duży inserat. Równocześnie z ogłoszeniem w fejletonie ukazuje się przychylna lub bardzo przychylna — zależy to od przysłanej sumy — ocena owej książki. Czasami przecież wydawca albo zapomniał o przesyłce, albo też

I raz jeszcze rozległy się strzały, już przytłumione, jakby pożegnalne, ostatnim wysiłkiem okupione, apelujące do serc ludzkich. A natychmiast potem, jak gdyby na komendę djabła, rozległy się gromy żywiołów.

I stało się coś nieopisanego! Powstał chaos. Myślałbyś, iż z żelaza zbudowane niebiosa od jednego uderzenia runęły na jakieś wielkie, przykrywające cały świat zwierciadło, że ono rozprysnęło się na miliony części, a każda część wytchnęła z duszy swej okropny jęk przedśmiertnej agonii. A wtedy ryknęło, jak gdyby armia wielkoludów wzięła się za bary z huraganem, jak gdyby wzajem kąsali się, a pomimo strasznego bólu nietylko nie rozplątali złączonych ramion, ale coraz więcej parli się i dusili, obojętni na strugi chłodnej posoki, spływającej po ich gigantycznych policzkach.

A oto znowu deszcz lunął przy wtórowaniu świstu i wycia. Liana słyszała, jak siekł szyby, bryzgał do wnętrza, na podobieństwo iskier, wypadających z kuźni rozdymanej miechem.

Burza, deszcz! Nie, to nie ulewa, to lawiny płynu spadały z góry, jak gdyby rozpękł się strop niebios, a nagromadzona od wielu tysiącleci woda mórz i rzek, przerwała nagle groblę i lunęła w dół, a w spadku swym, pochwycona na skrzydła burzy, jęczała, biczowana, szarpana i dręczona, i jak gdyby ponad wszystkiem pieniła się z wściekłości jakaś większa jeszcze potęga. Albowiem tysiące błyskawic szalonymi zygzakami przerzynały ciemne masy chmur, oświetlały cały firmament i zdawały się walić z trzaskiem i skrzypieniem w jego ściany, i mknąć z szatańskim rozkiełznania hukiem, torowały miejsce coraz to nowym duchom zniszczenia!

Byłże to już sygnał powszechnej zagłady? Zapewne. Bo oto ocean zaczerpnął z milowych swych głębin pożądliwego tchu, jak gdyby w płuca swe chciał wciągnąć i dno morskie i wszystko, aż do płonącego sklepienia, nasrożył się i spiętrzył, rozerwał ramiona olbrzymie i plunął pianą w niebo, jak gdyby szumowinami zgasić chciał górne ogniska.

A na wieży kościelnej łoskot, wrzawa i wycie. Słyszała je Liana, o ile pozwalały krótkie, złowrogie przestanki, a wówczas myślała, że to jej serce poraz ostatni uderza. Palce jej wpiły się w dłonie, a w mózgu, w jej mózgu, budzić się zaczęły pierwsze zwiastuny obłędu.

Lecz któż to w tej chwili dobija się do wrót kościoła? Byłaż to burza? Byłaż to błyskawica? A może fala? Tak, to bałwany od wielu już godzin czyhały u wejścia, skakały, jak pantery, łapami napierały drzwi, żądając, by je wpuszczono!

Ale dłużej już zostać w tem miejscu niepodobna. Żądza życia i obawa śmierci dodały dziewczynie nowych sił. Skupiła się w sobie, pochwyciła świecę i skromne swe pożywienie, i otwarła drzwi dzwonnicy. Z uginającemi się kolanami szła na górę. Ośmdziesiąt schodów! Stanęła. Tu już okno. Postawiła latarkę na podłodze i wyjrzała. Ale również szybko odskoczyła przelękniona. Błyskawica rozdarła powietrze i rozjaśniła wspinające się aż po niebo fale, a całe niebo zapłonęło długimi snopami światła! Jednocześnie cały strop zdawał się rozpękać, bo nie były to już gromy, to były huki, jak gdyby całe światy, całe planety uderzały o siebie, a echo roznosiło wspaniały wtór bólu po nieskończoności.

Liana leżała bezwładna, na pół przytomna. Ocknąwszy się, kilka tylko jasnych miała sekund. Natura otulała już jej zmysły wszystko znieczulającym snem. A w ciemnej nocy chciwie uderzały aż o szczyt wieży białe szpony oceanu. Dopiero z nadejściem dnia zaczęły się uspakajać rozpętane żywioły.

Gdy po południu odemknęła oczy i, próbując zebrać rozproszone myśli, wyjrzała przez okienko — już tylko sama wieżyca wystawała ponad tonie!

Wyspa — zniknęła. Z tą świadomością Liana osunęła się na ziemię i sięgnęła po chleb, który obok niej leżał.

nie chce płacić. Wówczas administracya gazety po raz wtóry posyła mu ów egzemplarz, cenę ogłoszeń i zawiadomienie w formie życzliwej rady, by nie zwlekał. A gdy i ten strzał zawiódł, wtedy rozpoczyna się walka przeciw zuchwalcowi. O książkach dziennik milczy, gdyż nawet najgorsza ocena stanowiłaby reklamę. Panowie dziennikarze używają w tym celu innych sposobów, których tutaj niepodobieństwo wyliczać.

Z drugiej strony przecież owe dzienniki są redagowane ze sprytem i zręcznością, godną podziwu. Artykuły wstępne pisują ludzie bardzo wykształceni, obdarzeni talentem literackim, obeznani z przedmiotem jaknajściślej. Zresztą wszelki dział ma jeszcze poddziały, a każdy z nich prowadzi specyalista. I tak np. w słynnej i osławionej zarazem *Neue freie Presse* artykuły o polityce francuskiej wychodzą z pod pióra Karola Thalera. Jest to pisarz, który uczęszczał w Insbrucku, Bonn i Heidelbergu na wykłady filologii starożytnej, później poświęcał się studyom nad językami romańskiemi i wschodniemi. W r. 1857 wszechnica heidelberska nadała mu stopień doktora filozofii. Tamże przez pewien czas spełniał obowiązki docenta, aż wreszcie znęcony lepszem uposażeniem materyalnem, wstąpił do świeżo założonej (w czerwcu 1864) *Neue fr. Presse* i tu z małemi przerwami aż do tej chwili pracuje. Jego artykuły są to prawdziwe cacka pod względem formy, lecz równocześnie pełno tam myśli głębszych, mnóstwo trafnych spostrzeżeń i misternych dowcipów. A równocześnie ten sam Thaler zdobył sobie poczesne miejsce wśród liryków niemieckich.

Wydawcy nie szczędzą kosztów, by czerpać wiadomości z pierwszej ręki. We wszystkich stolicach posiadają korespondentów, których dochody nie ustępują pensyi Blowitza. Prócz tego istnieją korespondenci „ruchomi,“ którzy pędzą to tu, to tam, byle przesłać natychmiast opis ważniejszego wypadku swej gazecie. Taki pan, zwykle ukończony prawnik lub uczeń wydziału filozoficznego, umiejący z każdego głupstwa zrobić rzecz poczytną, lekką i ponętną, dzisiaj jedzie do Galicyi na manewry, jutro już będzie w drodze do Konstantynopola, za miesiąc znajdziemy go w Afryce.

Cóż dopiero mówić o fejletonie? Wszystkie najwybitniejsze pióra literackie i naukowe pracują w tym dziale. Zjadliwy gawędziarz Spitzer ma za towarzysza profesora uniwersytetu i filozofa Wilhelma Jerusalem, arystokrata von Mertens ociera się o Pötzla i Chiavaci'ego, którzy mistrzowsko władają odrębnym i dziwacznym dyalektem najniższych sfer wiedeńskich.

Prawda, że środki materyalne pozwalają wydawcom płacić tak wysokie honorarya, jak prawie nigdzie. Na milionową przeszło (1,170,000 w r. 1886) ludność, Wiedeń posiada zbyt nawet małą liczbę dzienników; każdy z nich więc liczy dużą ilość prenumeratorów. Tu pierwsza leży podstawa dobrego ich bytu. Następnie prócz wyżej wspomnianych „schweigeldów,“ każdą gazetę utrzymuje albo stronnictwo polityczne, albo jakiś zakład finansowy, albo pewna grupa bankierów. I tak na *Neue fr. Presse* składa się część lewicy pod wodzą Herbsta i Rotszyldów. *Deutsche Zeitung*, organ skrajnych szowinistów niemieckich, bierze pieniądze od tych ostatnich i podobno z biura prasowego w Berlinie. *Wiener Tagblatt*, własność zręcznego spekulanta dziennikarskiego, Szepsa, pozostaje na żołdzie Länderbanku. Nawiasem mówiąc, ów Szeps jest synem biednego żyda z Rzeszowa w Galicyi, włada wybornie naszym językiem i zna naszą literaturę. Córkę wydał za bratanka przywódcy radykałów francuskich, Clemenceau. Stąd konserwatywne artykuły sąsiadują na szpaltach *Tagblattu* z hymnami na cześć francuskiego radykalizmu. Stara *Presse* popiera hr. Taaffe, *Fremdenblatt* służy ministerstwu spraw zagranicznych, *Wiener Zeitung* jest gazetą rządową, *Neues Wiener Tagblatt* czerpie z kieszeni kilku banków. Baron i bankier zarazem, Kolisch, prowadzi tak rozległe i *czyste* operacye, że musi sam jeden podtrzymywać *Wiener Allgemeine Zeitung*, pismo trzy razy dziennie wychodzące, podczas gdy inne ukazują się tylko w rannem i wieczornem wydaniu. *Extrablatt* i *Constitutionelle Vorstad-Zeitung*, gazety dla niższych warstw ludowych, łapią, gdzie mogą. Trzeciego źródła olbrzymich dochodów dostarczają anonse, które w Wiedniu są ogromnie rozpowszechnione i drogo płatne. Jedna stronica w *N. fr. Presse* daje przeszło 700 guldenów, a takich stronic ma owa gazeta dziennie od 8 do 10.

To też duma i zuchwałość tych panów nie zna granic. Hołdują tylko sile i guldenom. Stąd są fanatycznymi wielbicielami Bismarka, stąd ideałem dla nich Prusy, z musu i z konieczności, z obawy przed kara przywdziewają maskę austryackiego (?) patryotyzmu. Najulubieńszą zaś areną dla ich złośliwych przycinków są stosunki galicyjskie, nasze i poznańskie. Niema dnia, w którym nie możnaby przeczytać znęcań się nad nami. Wszystkie obelgi, wszystkie podejrzenia nieuzasadnione spadają niezasłużenie na nasze głowy. Karol Emil Franzos i Sacher-Masoch na szpaltach *Neue fr. Presse* zaczęli swój zawód literacki obrazkami, w których po raz pierwszy znalazły się wyrazy: *Halb-Asien* i *Bärenland* na określenie naszych stosunków społecznych. Nic dziwnego: Galicya i Poznańskie żebraczy wiodą żywot, z nami nie lepiej; dziennikarstwo wiedeńskie przeto, nie mogąc od nas wiele zarobić, sarka i gniewa się, ile mu tylko sił starczy.

A. Witski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

UŻYTECZNOŚĆ BANKU WŁOŚCIAŃSKIEGO.

II.

W ustawie Banku nie znajdujemy wzmianki o jednej z najważniejszych dróg przechodzenia własności u nas, o prawie hipotecznem, którego Cesarstwo nie zna, które zatem w tamtejszej ustawie nie potrzebowało być uwzględniane. Przepisy, których przy ustanawianiu własności pominąć nie można, nie zostały nawet najluźniejszym komentarzem potrącone. Wszak dopiero po założeniu księgi hipotecznej tytuł własności może być wpisany; kto więc założeniem tej księgi się zajmie, na kim ciążyć będą nietylko koszty hipoteczne, ale i rozmaite formalności, np. zezwolenie wierzycieli na sprzedaż części majątku, na którego całości pożyczki ich są ubezpieczone? Przypuszczamy, że brzemię spadnie na barki właściciela parcelującego majątek i z tego właśnie powodu widzimy, że odprzedaż gruntów odłużonych nie będzie łatwą. Przy najlepszej woli władz hipotecznych i pierwszego wierzyciela dóbr ziemskich, tj. Tow. Kredytowego, prawo prawem pozostać musi. Nie znaczy to, ażeby sprzedaże parcelacyjne ciągnęły się lata lub całkiem stawały się niepodobne; ale z utrudnieniami zna-

---

Ale nie chleba łaknęła ona. Straszne pragnienie paliło jej gardło. Pomimo to jadła; rwała kęsy mięsa, ażeby ochłodzić nieco spalone usta.

Co czynić? Wytrwać? Czekać! Dzień posuwał się naprzód. Wciąż jeszcze pęczniało i mruczało morze, wciąż jeszcze wysyłało burzliwą muzykę do uszów Liany; ale był to już zaledwie słodki szelest w porównaniu z tem, co słyszała ostatniej nocy.

Raz jeszcze sięgnęła po jadło, potem oparła się o mur, zamknęła oczy i próbowała zasnąć.

W wyobraźni jej rysowały się po kolei widma przeszłości: brata Ernesta, kota, kościoła i okrętu. Wszystko słyszała raz jeszcze! O jak huczą działa! Wapno kawałami opada ze ścian. Lata dziecięce, wypadki życia, pojedyńczy ludzie, wszystko stawało przed oczyma jej ducha. Wszystko pomieszane, poplątane.

Zasnęła w końcu; gdy zaświtał na nowo dzień i spostrzegła, że morze przestało się dąsać, wdrapała się na górę, przedostała przez otwór, wiodący do dzwonnicy i zatoczyła okiem dokoła. Przed nią rozścielało się ołowiane morze! Pustynia wodna! Ani śladu okrętu. Nic! A jednak stała tak, wypatrując, całe godziny, a gdy nagle w oddali coś się zaczerniło, pochwyciła linkę i zaczęła bić w dzwon. Raz! Jeszcze raz! A dalej już bez przerwy! Dźwięczało to ponuro, złowrogo nad martwą otchłanią! A przecież błagalną, żałosną skargą wychodziły te tony z twardej miedzi. Jak gdyby szło tu o śmierć i życie.

Albo nie szło o śmierć i życie? Dzwon zdawał się współczuć nieszczęśniej i dlatego z głębokiej piersi wydobywał tak rozpaczne jęki. Ale pomału zmrok padał na ziemię i ostatni dźwięk przebrzmiał.

Tak minęło pięć dni! Pięć dni przetrwała! Pięć dni darła włókna z lichego swego pożywienia. Wreszcie pozostały jej tylko twarde żyły, więc je chciwie ssała.

Szóstego dnia, niby łagodne, niosące pociechę oko Opatrzności, weszło na niebie słońce. Po raz pierwszy ukazał się kawał lądu. Bojaźliwie wysunął swe ciało i wnet skrył je napowrót pod łakome, zdąsane i szumiące fale.

I dziś po nad wodami, w blasku słonecznym nieba jęczał dzwon i błagał litościwych o pomoc dla drżącej, struchlałej postaci, która tam na górze siedziała skulona i oczyma szukała ratunku. Nie słyszała ona już nic; ręce pracowały odruchowo; nie czuła już nic, albowiem głód i pragnienie, szarpiące wnętrzności, odebrały jej przytomność.

I znowu nadeszła noc, a dzwon wciąż jęczał i jęczał, coraz bardziej złowrogo, ale i coraz ciszej. Siły opuszczały biedaczkę, ręce się trzęsły, oczy były zamknięte, głowa się chwiała. Gdyby choć teraz nadeszła pomoc! Zapóźno! Duch był już zamroczony. Chwilami tylko błyskawicą przemykało wspomnienie i rozsyłało dreszcze po drżącem ciele. Ale już nie płakała, nie jęczała — śmiała się! Śmiała się, zgrzytając zębami...

A gdy nadeszło południe, wyjrzała z nad powierzchni wód czarna jakaś masa, z której paszczy wychodził dym; szła coraz bliżej i bliżej. Rozległ się ostry, przenikliwy świst. Brzmiał on jak natarczywe pytanie. Żadnej odpowiedzi. Przed chwilą umilkły łagodne dźwięki.

Miłosierna dłoń natury zamknęła nieszczęśliwej powieki. Już nie oddycha! Nie słychać już dzwonu!

Raz jeszcze gwiznęła świstawka parowa. A teraz oto z szumem przepływa dumny potwór, niby czarny, olbrzymi łabędź, nad którym unoszą się lotne skrzydła dymiącego komina.

A na górze w dzwonnicy, ze sznurkiem w ręku, z przygasłym wzrokiem i zbielałemi wargami — leżała umarła!

Tłom. *N.*

---

cznemi spotykać się będą. Przypuśćmy bowiem, że znajdzie się uparty wierzyciel, który nie pozwoli na zbycie częściowe, chcąc kapitał swój mieć ubezpieczonym na całości majątku. Co zrobić? Spłacić go? Zapewne, ale przedewszystkiem fundusz od Banku, otrzymany za kawałek majątku, posłuży do częściowego tylko pokrycia długu, a następnie, skąd wziąć kapitał potrzebny na spłacenie opornego wierzyciela, przed założeniem osobnej księgi hipotecznej dla parcelowanej przestrzeni, a tem samem przed podniesieniem pożyczki bankowej? Naturalnie są to w gruncie rzeczy trudności, które usunąć się dadzą, ale trudności bardzo kłopotliwe, którym bez krzywdy niczyjej ustawa zapobiedz mogła.

Chociaż § 2-gi stanowi, że pożyczki mogą być przyznawane osobom, mającym prawo do kupowania gruntów, podchodzących pod moc Najwyższego ukazu z dnia 2 marca (19 lutego) 1864 r., zasada ta nie jest niewzruszoną, gdyż jednocześnie czytamy, iż włościanie o tyle mają owo prawo, o ile otrzymali świadectwo miejscowego komisarza o *nieistnieniu przeszkód* do udzielenia im pożyczki. Widzimy stąd, że istotę kwalifikacyi stanowi opinia władz włościańskich, że zatem niezależnie od praw stanowych, przystępujący do pożyczki nie może być pewny, czy podanie jego uwzględnione zostanie.

Wysokości udzielanych pożyczek i sposobu ich umarzania wyjaśniać tu nie będziemy; pragniemy tylko zwrócić uwagę na stopę procentową. Według ustawy Banku w Cesarstwie, u nas niezmienionej, opłaca się półrocznie: 1) procent $2^3/_4$%; 2) amortyzacyę pożyczek, udzielonych na $24\frac{1}{2}$ lat — 1%, na $34\frac{1}{2}$ — $\frac{1}{2}$%, oraz 3) koszty zarządu Banku i utworzenie funduszu zapasowego — $\frac{1}{4}$%. Zatem przy pożyczkach, umarzających się co lat $24\frac{1}{2}$, włościanie opłacają $8\frac{1}{2}$% rocznie, przy umarzaniu $34\frac{1}{2}$ letniem— $7\frac{1}{2}$% rocznie. Ponieważ większość będzie wolała brać pożyczki prędzej amortyzujące się, normę $8\frac{1}{2}$% uważać możemy za ogólną. Czy przy naszych warunkach ekonomicznych i kulturalnych kapitał, umieszczony w ziemi, może dać $8\frac{1}{2}$%, a w razie przeciwnym, czy Bank może być pewnym regularnego wpływu rat?

W Królestwie Polskiem renta gruntowa nie daje więcej nad 5%, i to w majątkach dobrze uprawnych i gospodarowanych umiejętnie. Zasada ta w całej rozciągłości nie może się stosować do własności małej, bo tu wysokość kosztów produkcyi jest mniejszą z tego powodu, że rolnik znaczną ich część pokrywa pracą osobistą, nieliczoną za nic, albo bardzo mało. Praktyka potwierdza najzupełniej słuszność takiego zapatrywania, ale tylko do pewnej miary, to jest, że posiadacz drobny zdoła wygospodarować np. o pół wyższą rentę gruntową, aniżeli wielki, czyli że dochód pierwszego podnieść się może do $7\frac{1}{2}$% rocznie. Ale choćbyśmy go podwyższyli jeszcze o jeden procent, czyli do wysokości opłat, należnych Bankowi, którego pożyczka posłużyła do pokrycia całego prawie szacunku nabytej nieruchomości, to znaczy, że Bank jest jedynym poborcą całego dochodu gruntowego — z czegóż nabywca opłaci podatki państwowe i ciężary gminne? Czy do kosztów eksploatacyi nie należy wliczyć składek ubezpieczeniowych, a wreszcie utrzymania właściciela i jego rodziny? A wtedy wysokość renty, potrzebnej do pokrycia tych nieodzownych wydatków podnieść należy najmniej do 12%, czyli do stopy, jaką daje gospodarstwo ogrodowe, prowadzone z wielkim nakładem kapitału, znajomością zawodową i położone w szczęśliwych warunkach ekonomicznych.

Takiej renty nie wygospodaruje żaden chłop polski, tem bardziej, że grunty, na parcelacyę wystawione, nie będą czołową ziemią folwarków dworskich, lecz odpadkami ze słabą kulturą, których przyrodzoną żyzność dawno już wyczerpało ekstenzywne gospodarstwo folwarczne. Na takiej roli, zwłaszcza w początku, trudniej będzie o dochód, któryby choć w trzech czwartych pokrywał ciężary. Na okoliczność tę szczególniejszy nacisk kładziemy.

Nie należy tedy żywić przesadnych nadziei, dopóki pozostaje wątpliwem ważne pytanie: czy wobec kulturalnych warunków gruntu i sposobu gospodarowania włościan wysokie opłaty z nabytych działek nie sparaliżują w zarodzie pożyteczności instytucyi? Wieśniak nasz jest oszczędny, ale nie umie ani liczyć, ani rozumnie wyzyskiwać ziemi; więc nie zdoła on jej wydajności podnieść do stopnia potrzebnego na pokrycie wszystkich ciężarów, które dźwigać musi. Fanatycznie przywiązany do roli, uważając jej posiadanie za szczyt szczęścia i marzeń, w trudniejszych nawet warunkach zostałby jej właścicielem, nie zdając sobie sprawy z następstw gospodarki za cudze i drogo oprocentowane pieniądze. Choćby owe 10% ceny pokrył nabywca działki z własnych oszczędności, chcąc jakkolwiek zagospodarować się na kolonii, przy pomocy Banku nabytej, przynajmniej rozporządzać musi 25-oma procentami szacunku nieruchomości, na kupno inwentarzy, narzędzi i budowle najskromniejsze. Chłop wyprzeda się do ostatniej koszuli, zadłuży u lichwiarza i pieniądze znajdzie, ale jaka przyszłość tak obarczonego warsztatu pracy? Mamy już odpowiedź w krótkiej działalności Banków Cesarstwa. Tam, chociaż włościanie wnoszą 25% szacunku z funduszów osobistych, są więc zatem ludźmi względnej zamożności, już w opłacie pierwszych rat amortyzacyjnych zalegają, a nawet kilka było wypadków, że chcieli Bankowi oddać za jego pomocą nabyte grunty, lub wprost oświadczyli, iż rat płacić nie będą. W stosunkach kredytowych wypadki takie zdarzają się często; zwykle działa tu więcej zła wola, aniżeli rzeczywista niemożność, a instytucya finansowa poradzić sobie z takimi dłużnikami potrafi; ale co będzie u nas, gdzie z zasady widzimy, że dłużnicy *nie będą w stanie* opłacać procentów od pożyczek w wysokości przez Bank oznaczonej? Nie chcę być fałszywym prorokiem, ale mam to przekonanie, że jeśli stopa opłat bankowych pozostanie na tej wysokości, większość nabywców z zobowiązań nie wywiąże się z pewnością.

Naturalnie wątpliwości nasze nie stosują się do kolonistów, już własność posiadających, lub gromad wiejskich, czy spółek włościańskich. Ta kategorya płacić będzie.

Ale jeśli w Banku włościańskim mamy widzieć instytucyę, która pragnie korzystnie zreformować społeczno-ekonomiczne stosunki ludności włościańskiej, nie możemy za pożądany uważać takiego kierunku jej działań, przy którym pierwszeństwo miałyby jednostki, czy nawet spółki, już własność posiadające.

Pojedyńczych artykułów ustawy Banku rozbierać w tem miejscu nie będziemy. Pragnęliśmy tylko z całości jej wskazać te przepisy, które, według nas, nastręczają pewne wątpliwości w dodatnim rozwoju instytucyi. Wreszcie pierwsza to dopiero próba u nas zastosowania kredytu rolnego dla ludu wiejskiego. Zobaczymy, jak wobec tego zachowa się ten lud, to jest jakie wystawi sobie świadectwo dojrzałości finansowej. Na chwilę nie wątpimy, że chłop polski dobrym jest dłużnikiem, ale wtedy, gdy kredyt, ofiarowujący mu swe usługi, umiał się przystosować do warunków gospodarczych i kulturalnych otoczenia.

G.

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGIA
(GUMPLOWICZA).

I.

Prace socyologiczne p. Gumplowicza, rozpatrywane w miarę swego ukazywania się, przedstawiają poniekąd ciekawy widok. Rozwój teoryi w umyśle autora, oraz trudności, z któremi się borykał, zanim wypowiedział ostatnie jej sformułowanie, ukazują się z całą widocznością. Nie bardzo miniemy się z prawdą, twierdząc, iż *System socyologii* (Warszawa, 1888) stanowi jedynie ostatnią edycyę niewielkiej broszurki z 1875 r., *Rasa a państwo*. Już w niej zawarte zostały wszystkie zasadnicze przekonania autora, rozwijane następnie w całym cyklu prac późniejszych *): Rozszerza on wciąż i udoskonala myśl pierwotną, popiera ją liczniejszymi dowodami, coraz silniej oddalając się od mocno apriorystycznego stanowiska początkowego, lecz w podstawowych punktach nic nie zmienia. Kiedy więc *Rasa a państwo* zaledwie zasługuje na poważniejszą wzmiankę, z czem poniekąd zgadza się i sam p. G., opuszczając tę broszurę w wykazie swych dzieł przy niemieckiem wydaniu *Socyologii*, ta ostatnia należy bezwarunkowo do wybitniejszych prac w dziedzinie wiedzy społecznej kilku lat ostatnich. Za dowód wchłaniania nowych pierwiastków może służyć chociażby fakt, iż gdy w *Walce ras* p. G. odzywa się jeszcze dość lekceważąco o znaczeniu badań kraniometrycznych, w *Socyologii* zajął stanowisko odmienne. Umysły pedantyczne, przyzwyczajone do rutynicznego dreptania po tych samych ścieżkach, gotowe z tego powodu zrobić akt oskarżenia. Naszem zdaniem, jest to raczej strona dodatnia; dowodzi bowiem, że umysł autora nie zakrzepł jeszcze. To doskonalenie teoryi przez p. G. polega przedewszystkiem na coraz większem zabarwianiu antropologicznem dowodów. W *Walce ras*, dla poparcia wielopochodności człowieka, powołuje się on jedynie na rodowód mowy i religii, twierdząc, iż niepodobna, aby ludzkość, wobec niezmierzonej ilości niebezpieczeństw, zdołała się rozwinąć z jednej pary; w wydanej świeżo pracy polskiej główne dlań oparcie stanowią fakty, zaczerpnięte z antropologii, choć i tu jeszcze widać, jak potężnie i niekorzystnie ciąży na autorze balast prawniczo-historycznego wykształcenia. Jednem z głównych założeń całej teoryi jest wielość punktów, w których ród ludzki ukazał się na globie ziemskim. Twierdzenie wielopochodności jest, zdaje się, faktem, stale utrwalonym w nauce antropologicznej, dzięki naprzód pracom amerykanów (Knox, Gliddon — wartości ich dowodów nie obniża to, iż wystawili je w widokach partyjno-społecznych, bo w celu utrzymania niewolnictwa), później zaś wskutek poszukiwań jednego z najhumanitarniejszych odłamów ludzi nauki, mianowicie grupy antropologów z paryskiego Towarzystwa antropologicznego (Broca, Sanson, Topinard, Bordier, Hovelacque; tu możnaby przytoczyć Vogta, po części Virchowa i in.). Niezdolność rozpłodcza, fizyczna i umysłowa, mieszańców niektórych grup rodu ludzkiego (np metysów z obcowania płciowego pomiędzy murzynami a podłużnogłowymi blondynami);

*) Takiemi, coraz poprawniejszemi powtarzaniami tej myśli są: *Rasse und Staat*, 1875; *Rassenkampf*, 1883 i *Sociologie*, 1885, zwłaszcza w polskiem opracowaniu. *Philosophische Staatsrecht* rozwija poglądy w odniesieniu do prawa, *Rechtstaat und Socialismus* wykazuje mrzonki budowniczych społecznych. Prace p. G. są bardzo niejednakowej wartości. Za najcenniejsze uważamy: *Filozoficzne prawo państwowe* i *Socyologię*.

nieudolność aklimatyzacyjna jednych ras w siedzibach, gdzie inne, miejscowe, pomyślnie żyć mogą; wreszcie dane patologii porównawczo-rasowej, wykazujące różną podatność ras na zarazki chorobliwe — oto trzy szeregi faktów, wymownie świadczących na korzyść wielopochodności, których nie uwzględnił p. G., chociaż one dostarczyłyby mu jaskrawego światła. Drugą wadę stanowi pomijanie czynników natury ekonomicznej, np. zależności form własnościowych, antagonizmów klasowych itd. od sposobów produkowania dóbr materyalnych. Właśnie wskutek przewagi żywiołów prawniczo-historycznych i względnego braku biologicznych, a zwłaszcza ekonomicznych, poglądy p. G. otrzymują tak znamienne zabarwienie pesymistyczne.

Krytyka przyznała, iż teorya, spoczywająca w podstawie *Systemu socyologii*, odznacza się oryginalnością. Temu nie staje na przeszkodzie okoliczność, iż oddzielne jej punkty zostały oddawna wypowiedziane w nauce. Wielość pierwotnych ognisk rozwoju dziejowego ludzkości tkwi, jako niesformułowana zasada, w pracach poważniejszych tegoczesnych przedstawicieli socyologii, antropologii i paletnologii, a w dziełach t. z. „darwinistów społecznych“ (np. u p. Clémence Royer) i niektórych antropologów (z dawniejszych *Types of mankind* Notta i Gliddona, z nowszych u Lapouge'a) doprowadzoną została niemal do tych samych wniosków praktycznych, co u p. G., chociaż brak jej tu ogniwa pośredniego — teoryi państwa. Twierdzenie znów, że nie osobnik, lecz całe grupy, złączone jednolitością interesów, służą za oparcie procesom społecznym, wypowiedziane zostały wyraziście z jednej strony przez Lorenza Steina, w jego pracach nad Francyą (1789—1848), z drugiej, przez całą szkołę socyologiczną, której głównymi przedstawicielami są: Marks, Engels, Morgan. Wreszcie znajdując się w związku z poprzedniemi dowodzeniami o znaczeniu podrzędnem idei (moralnej i prawnej) i o tem, iż jest ona odzwierciedleniem już istniejących stosunków. stanowią podwalinę szkoły historyozoficznej t. z. „materyalistów społecznych“ (do których zresztą Kautsky, jeden z krytyków, zaliczył i p. G). Pojęcia, które wysnuwa nasz autor, unoszą się. iż użyjemy podobnej przenośni, w powietrzu socyologicznem. Oryginalność jego teoryi, w odróżnieniu od wymienionych, polega na odmiennem zespoleniu pierwiastków, wskazanych w pewien nowy sposób, na zaakcentowaniu zwłaszcza silnem niektórych, wreszcie na zużytkowaniu całości ku obronie zapatrywania pesymistycznego. Zresztą charakter umysłowy p. G. uderzająco przypomina Cezara Lombroso. Niepodobna zaprzeczyć, iż pomiędzy obu badaczami istnieje mnóstwo punktów stycznych, które, gdybym nie obawiał się wprowadzania tu, mocno zdyskredytowanego punktu widzenia, tłomaczyłbym własnościami rasowemi. Główną cechę stanowi „hazard“ naukowy. Obaj opierają się na faktach, lecz widać, iż powzięli wypływające z nich wnioski już przed nagromadzeniem obfitego materyału faktycznego; obaj posiadają niezwykłą śmiałość w wypowiadaniu chociażby najbardziej niepopularnych sądów, a jeszcze większą w doprowadzaniu możliwych konsekwencyj do ostateczności, co bardzo razi umysłowa filisteryę. Z tego to powodu umysły „zdochlacze,“ lubiące przedewszystkiem trzymanie się złotego środka i utartych gościńców, zupełnie zapominają wobec nich o zachwalanej oględności, i zamiast krytyki obryzgują wprost patosem oburzenia. Zarówno Lombroso jak i Gumplowicz odznaczają się stosunkowo małem uwzględnieniem ścisłości w wyrażeniach — u obu łatwo wyszukać mnóstwo zdań, przeczących sobie ze strony formalistycznej, co żakostwu krytycznemu daje możliwość zdobywania łatwych i tanich tryumfów na polu ćwiczeń logicznych, lecz ta woda zaciera się po przestudyowaniu całości i nie zaciemnia idei przewodniej. Obaj wydobyli się z pod rutyny „wyszkolenia“ i są w nauce przedewszystkiem uczonymi publicystami, z całą właściwą tej grupie namiętnością. Nie wdaję się w kreślenie dalszych porównań, lubo ich znalazłoby się jeszcze wiele, chociażby w owej elastyczności i wrażliwości umysłowej, pozwalającej na ciągłe przyswajanie nowych grup faktów. Natomiast muszę zwrócić uwagę, na czem polega głównie wartość ich prac. Jest to oddziaływanie zapładniające. Studyowanie poglądów obu badaczy zmusza wprost czytającego do zadawania licznych pytań, zastanawiania się, poznajamiania z nowemi sferami faktów. Mówię to z własnego doświadczenia. Oto dowody. Pierwsze artykuły p. G. w *Prawdzie* uderzały w poglądy, które wyznawałem; przytaczane przezeń argumenty zmuszały mnie do uważnego rozpatrzenia własnych dowodów i w rezultacie zaprzęgły do kilkoletnich studyów nad antropologią. W dwa lata później spotkałem się z niemieckim krytykiem, Kautskym, który był już wówczas opublikował swoją ocenę *Walki ras*. Jest on przeciwnikiem p. Gumplowicza, w rozmowie jednak zauważył, iż mało zna autorów, wywierających takie fermentujące działanie na umysł czytelników. Właśnie z tego stanowiska należy oceniać działalność naukową autora *Systemu socyologii*. Wartość jego prac, mojem zdaniem, polega nie na tem, co wypowiedział, lecz na owym pobudzającym procesie umysłowym, jaki wywołują. I sądzę, że wiele pochlebnych sądów należy przypisać właśnie temu uczuciu, które opanowywało recenzenta, wobec nawału powstających zagadnień i zapytań, jak również wiele innych, niepozostawiających na autorze suchej nitki, a płynących, jeżeli nie z pruderyi filisterskiej, tedy z pewnej niesprężystości umysłowej i stwardnienia mózgów, zakrzepłych w dogmatyzmie i niezdolnych do żadnej fermentacyi. Tem to należy tłomaczyć objaw, iż krytycy demokracyi społecznej przyjęli chociażby *Walkę ras* sympatyczniej, aniżeli mieszczański filisteryzm. I my sami, chociaż w wielu zasadniczych punktach zgoła się nie zgadzamy na poglądy p. G., stawiamy wysoko jego pracę dla tej siły zapładniającej, jaką wywiera na czytelnika.

(D. n.)

KARTKI NAUKOWO-ESTETYCZNE.

Mleko u samców. Przyrodnik niemiecki z Kasslu, dr. Moryc Alsberg otrzymał w końcu roku zeszłego wiadomość z okolic Erfurtu, miejscowości Wenigersömmern, o koźle, dającym mleko, co obywatel tameczny, zjawiskiem tem niepomału zdziwiony, postarał się stwierdzić urzędownie, aktem, zaopatrzonym pieczęcią gminy. Z dokumentu tego widać, iż należący do jednego z rolników kozieł, trzymany i używany jako specyalista-reproduktor, odbiera uszczęśliwianym przez siebie samicom monopol dawania mleka. Ma on półtora roku, a w okolicach tylnych nóg dosyć dobrze, prawie jak u samic, rozwinięte wymiona, które już sześć miesięcy temu zaczęły przy pomocy doju dawać mleko, przynosząc widoczną ulgę samemu zwierzęciu, a większą jeszcze sprawiając radość właścicielowi i gapiom. Ilość otrzymywanego płynu za każdym razem wynosi około szklanki; jest on całkiem podobny do zwykłego mleka koziego, różniąc się jedynie bardziej żółtem zabarwieniem oraz większą gęstością. Własności dotąd ani smakiem ani na drodze ekonomicznej bliżej zbadane nie zostały. Nadmienić wypada, iż okaz, o którym mowa, należy do rasy bezrogich, znanej natomiast z wielkiej obfitości mleka, które już bardzo wcześnie dają młode, niezapłodnione jeszcze samice. Alsberg podaje analizę chemiczną owego koźlego mleka; wykazuje ona 23,3% substancyj suchych, z których 6,5% tłuszczu i 7,1% kazeiny, a więc tłuszczu o połowę więcej, niż go zawiera mleko samic. Ciężar gatunkowy wynosi 1,034.

Przy tej sposobności rzeczony naturalista wyraża za Wiedersheimem mniemanie, że dla człowieka, zarówno jak i dla innych ssących, niewątpliwie istnieć musiało stadyum, kiedy obie płcie dawały mleko. Piersi męzkie wraz z brodawkami to narząd szczątkowy, ocalony w stanie zaniku. Że zaś doba tak bardzo zamierzchłą znów nie jest, świadczy fakt, iż mężczyzni mlekodajni nieraz już się trafiali (jest to tak zwana *gynekomastya*), a nadto chłopcy zaraz po urodzeniu, lub też w okresie dojrzewania, dosyć często dają z silnie rozbrzmiałych piersi mleko, niczem nie różniące się od pokarmu kobiecego. Nieraz też otrzymywano mleko od kozłów i baranów, zwłaszcza baranów kastrowanych, przyczem mleko ich okazywało się nawet bogatszem w kazeinę, niż mleko zwykłe.

Psychometrya. Jak sama nazwa wskazuje, jest to gałąź psychologii, zajmująca się mierzeniem procesów duchowych. Że jednak w zastosowaniu do nich może być mowa jedynie o czasie, mianowicie czasie ich trwania, a nigdy o przestrzeni, więc i wszystko, co nowoczesna wiedza o duchu na tem polu zdziałała, odnosi się jedynie do szybkości powstawania i następowania po sobie stanów psychicznych. Kilka nowych i ciekawych przyczynków mamy dziś do zanotowania.

Jak szybko odbywa się kojarzenie pojęć?

W jakim czasie okazuje się reakcya na wrażenia chłodu i ciepła?

Co do pierwszego, nowych danych dostarcza znany już z pomiarów, dotyczących władzy poznawania i nazywania, James Mac Keen Cattel. Mierzył on tez czas kojarzenia się pojęć, tj. czas, jaki upływa od ujrzenia lub posłyszenia jakiego wyrazu aż do zjawienia się w wyobraźni wizerunku jakiegokolwiek przedmiotu, będącego z wyrazem owym w pewnym związku. Było to tak zwane kojarzenie nieograniczone. Tym razem Cattell bada kojarzenie ograniczone tj. takie, w którem sfera wyobrażeń wtórnych, czyli kojarzących się z pierwotnymi, będzie ściśle określoną i zamkniętą.

Tak np. kojarzeniem ściśle ograniczonem jest tłomaczenie zwykłych, krótkich wyrazów na jeden z dobrze posiadanych języków obcych. Tu może być tylko jedno kojarzenie—trwa zaś ono od 0.25 do 0.3 sekundy; na imię miasta pomyśleć o kraju w którem się on znajduje — trwa 0.3—0.46 sekundy; z miesiącem skojarzyć miesiąc następny — trwa 0.3—0.4 sekundy; przywołać zaś na pamięć miesiąc poprzedzający — to już, jako trudniejsze, wymaga dłuższego nieco czasu, bo 0.7.—0.8 sekundy. Z imieniem pisarza skojarzyć jego język: około 0.4 sek.; z dwiema jednocyfrowemi liczbami skojarzyć ich sumę: 0.3 sek., zaś ich wypadkową: 0.4—0.5 sek. (Cyfry tutaj przytoczone są skróceniami ułamków, podanych aż w częściach tysiącznych).

Przechodzimy do wypadków, gdzie możebne są dwa skojarzenia, a nawet więcej i gdzie o wybór jednego z nich chodzi.

Z daną porą roku skojarzyć jeden z jej miesięcy (trojakie kojarzenie) — trwa 0.4—0.56 sek.; z pewnym językiem skojarzyć pisarza odnośnej narodowości (kojarzenia wielorakie) — trwa 0.52—0.7 sek.; z imieniem znanego pisarza — jedno z jego dzieł: 0.6—1.1 sek.

Większą jeszcze odgrywa rolę wolny wybór w następujących wypadkach. Z pewną kategoryą pojęć skojarzyć przykład (np. z „rzeką wogóle — Ren) — trwa: 0.5—0.7; z określonym przedmiotem skojarzyć jedną z jego cech: 0.3 do 0.4; z przymiotnikiem rzeczownik: 0.3—0.8; z czasownikiem—podmiot: 0.5; zaś z czasownikiem — przedmiot: 0.4—0 6 sek. A już całkowitym sądem jest określenie, który z dwóch mężów jest znakomitszym, co trwa 0.5—0.6 sek. lub możliwie szybkie oznaczenie długości linii, trwające 0.6—1.1 sek.

Ciekawszemi jeszcze od tych danych przeciętnych są dane o poszczególnych kojarzeniach i pojedyńczych osobach, użytych do doświadczeń. Jak dalece na tej drodze zbadać można

indywidualne właściwości umysłu, przekonywa taki oto przykład. Dwie osoby wiedziały jednakowo dobrze, iż 7 a 5 czyni 12 i że Dante był poetą; pomimo to pierwsze z tych kojarzeń u jednego z robiących na sobie eksperyment trwało o $^1/_{10}$ sekundy dłużej, niż u drugiego, który był nauczycielem matematyki, podczas gdy tamten o tyleż szybciej dokonał skojarzenia rodzaju historyczno-literackiego (Dante), dzięki temu, iż więcej zajmował się tą dziedziną.

A teraz o szybkości wrażeń ciepła i chłodu. Mierzył ją Goldscheider i otrzymał następujące wyniki. Gdy chłód bodźca ma 15° Celsiusza, odruch następuje po 0.13 sek.; gdy zaś bodziec ma ciepła 50° C. (wyżej zera), odruch następuje po 0.19 sek. A zatem wrażenie ciepła ujawnia się później, niż wrażenie zimna. Różnica ta wzrasta w miarę oddalenia podrażnionej części ciała od mózgu. Reakcya na zimno w górnych kończynach wymaga 0·15 sek., ziębnienie brzucha wywołuje odruch po 0.22 sek., ziębnienie kończyn dolnych — 0.75. Wrażenie zaś ciepła w tym samym porządku, wywołuje odruch po 0.27, 0.62 i 0.79. A więc wrażenie chłodu w nogach przenika do świadomości o całe pół sekundy wcześniej, niż porażenie ciepła.

Jeżeli wrażenie jest umiarkowanie silne, czy to z powodu, że podrażnienie słabsze, albo odnośne miejsce organizmu mniej wrażliwe—wówczas ilości czasu powiększają się. Dla umiarkowanego wrażenia ciepła w ramieniu potrzeba 0.50 sek., wrażenie zaś całkiem słabe ujawnia się odruchem dopiero po całej sekundzie.

Von Vintschgau i Steinach (podajemy według czasopisma *Humbolta*) porównywali szybkość wrażeń dotykowych (obojętnych) z szybkością wrażeń terminowych i znaleźli różnicę niezbyt wielką; tak np. na prawym policzku przeciętna szybkość wynosi dla wrażeń chłodu (2—4° C.) 0.143 sek.; a dla wrażeń ciepła (48—49° C.)— 0.154 sek. W razie szybkiego powtarzania eksperymentu na policzku, szybkość wrażenia chłodu zmniejsza się wyraźnie już po kilku minutach; szybkość zaś wrażeń ciepła maleje głównie na skroniach.

H.

LITERATURA I SZTUKA.

ZAKAPTURZONY IDEALIZM.

I.

Na chwałę sztuki i literatury polskiej wyznać trzeba, że nie uchyliły się od wiekopomnego przełomu, który rozwichrzoną i rozbujałą ideę piękna poskromił i ujął w karby, okiełznał fantazyę i wyuzdane uczucie i skuł je jarzmem, zaszczytnem co prawda—logiki i zgodności ze światem rzeczywistym.

Przebywając potężny ten kataklizm, Zachód Europy zdał sobie z niego sprawę, zbadał przyczyny i jako tako określił racyę bytu oraz granice. Wprowadzono w twórczość realistyczną pewien ład i teoryę, ugrupowano się w szkoły i obozy, rozwinięto sztandary, i każdy poeta czy artysta wie przybliżenie, czego się ma trzymać, jest świadom swych zasad estetycznych, ma swą osobistą formułkę dla wyznawanego przez siebie kierunku.

W daleko wyższym stopniu samowiedzę te posiada krytyka. Potrafi ona prawie zawsze wytłomaczyć się z swych upodobań i postulatów, i rozbierając dzieła ludzkiego geniuszu, stoi na gruncie pewnych poglądów ogólnych i dobrze umotywowanych. Jeśli ma niechęć dla fabuły historycznej — wyczerpującą się usprawiedliwi, jeśli żywi wstręt dla naturalizmu krańcowego, nie włazi na ambonę, nie gromi go po kaznodziejsku, ale szuka nań oręża lub rózgi w arsenale psychologii i samejże estetyki.

Jeżeli, przeciwnie, wzoruje się na *Maczużdze*, *Brzuchu Paryża* lub *Nanie*, w rzeźbie naśladuje werystów włoskich, a w poezyi *Bluźnierstwo* Richepina — znajdzie i na to rozumną doktrynę. Słowem, jakikolwiek wyobraża odcień, frakcyę lub gałąź, zawsze poczytuje sobie za obowiązek nie mknąć owczym pędem za prowodyrem stada, ale wiary swej bronić poważnie i publicznie.

A u nas? Jak się rzekło, wstrząśnienia nie uniknęliśmy. Prąd realistyczny, druzgocząc po drodze wiele uprzedzeń i zatęchłych prawidełek, wtargnął i tutaj. Ale rozlał się nierówno, bez systematu i planu, jak rzeka występująca z brzegów w czasie roztopów wiosennych. Realizm u nas łożyska nie wyżłobił sobie — wygląda więcej na sadzawkę ogromną, lub... miejscami trzęsawisko. Nikt do wnętrza jego istoty i wartości nie sięgnął. Każdemu, nawet najstateczniejszym firmom literackim, ubrdało się, że wyraz „realizm“ i zawarte w nim godło jaśnieją taką samą aureolą prawdy i wyższości, jak np. dewiza „sprawiedliwość“ — i żadnego podmurowania nie potrzebują...

Gdy komisarze dobrych obyczajów dostrzegą wybryk w stronę nadmiernego rozzmysłowienia, grzmią — to przynajmniej zrozumiałe; gdy je widzi krytyk, deklamuje w ton mniej więcej sposób: „wszystko ma swoją miarę, nie bądźmy zwierzętami.“ Nie zawahałbym się twierdzić, że wszystkie uwagi estetyczne, wysyłane pod adresem naszych parnaszczyków, mają swój prototyp w postękiwaniach i gderaniach gospodyni, stojącej nad kucharką: ta baba ma za wiele drożdży, tamta za mało jaj, owa za mało mąki. Dobre to w dozorowaniu wypieku, ale nie w analizie twórczości duchowej, gdzie wszelkie „zamało,“ „zanadto“ niczego nie uczą a w samym sędzi ujawniają ślepca, chodzącego omackiem.

Nie jedna ulewa idealistycznych zachwytów, nie jeden grad realistycznych oburzeń i pocisków spadły na naszą niwę literacką, ale dotąd nie wyłoniła się z nich jasna odpowiedź na rdzenne pytanie: co to jest realizm? W dyskusyach i ocenach prawi się wiele o „obywatelskości,“ o wychowawczej stronie powieści lub obrazu, o podsycaniu narodowego znicza w dobie powszechnego upadku na duchu—cóż dziwnego, że w bezrządzie tych sejmików, gdzie do głosu rwie się każdy: pedagog, moralista, patryota — tylko nie estetyk świadomy siebie, rodzą się dziwolągi i potwory?

Poszukawszy dobrze, możnaby zebrać pokaźne ich muzeum, ale biorę dla przykładu kilka anomalij więcej znanych i głośnych.

Pani Śnieżko-Zapolska posiada w stronnictwie realistycznem żarliwych wielbicieli — dla ostrożności, zastrzegam, że nie mówię tego dwuznacznie — a jednocześnie zawziętych przeciwników. Tamci kreowali ją na geniusza, ci na niewiastę śmiałą jedynie i pewną siebie zbieraczkę społecznego śmiecia.

Pan Dygasiński spróbowawszy nowelistyki w kilku udatnych opowiadaniach, jak np. *Dni i noce w kantorze*, *Filozof i praczka* szeroko roztworzył wrota poezyi dla domowego inwentarza i wpuścił weń świnie, krowy, kury, gęsi, indyki, konie, barany; tylko patrzeć a zlituje się nad istotami drobniejszego kalibru. Czy powierzył im rolę uboczną, odpowiednią tej, jaką odgrywają w rzeczywistości? Gdzie tam! zrobił z nich bohaterów pierwszej wody. Z psychologii zwierząt, niewątpliwie ciekawej, ale mającej właściwe swe miejsce u Espinasa, Brehma lub Wundta — zrobił całe epopej i sielanek. Zdawało mu się, jako dzielnemu zresztą rzecznikowi metody poglądowej (patrz prelekcyę *o kanarku*), że wnosi do powieści nową myśl i nowe zagadnienie — i zdawać mu się mogło. Ale najgorsza, że krytyka złudzenie to podzieliła i wzięła działalność czynnego członka towarzystwa opieki nad zwierzętami za dalszy rozwój idei pesymistycznej Zoli, za wizerunki do walki o byt.

Zjawisko to ma na sobie wszystkie cechy znamienne chorobliwego wypaczenia smaku, tak dalece, że nawet *Nowe tajemnice Warszawy*, literackie monstrum *sans pareil* powitane zostały oklaskiem.

A czemże jest *Nana* p. Suchorowskiego, pokazywana w sztucznem oświetleniu, to *comfortativum*, rozsławiono reklamą paryskich aptekarzów, pigułczarzów i plastrarzów—jeśli nie takiem samem zielskiem patologicznem, jeśli nie *sztuczką*, co się podszywa pod pozór *sztuki*. Jak się wobec niej zachował ogół wykształcony, co o niem pomyślała krytyka? Błąkała się, jak łódź bez steru po morzu.

Czy te i im podobne dzieci Apolina — są nieprawemi? Czy można im w zasadzie odmówić—jeśli nie talentu, to daru artystycznego? Bez ryzyka—niepodobna. Ale z całą stanowczością twierdzić można, że to nie żeglarze, lecz rozbitki, nie żołnierze, lecz ciury, nie artyści, lecz dyletanci w ujemnem znaczeniu słowa. Nikt im nie uświadomił tego, co wypowiadają instynktownie, nikt gwiazdy przewodniej nie wskazał. Plączą się i płodzą okazy jakiegoś mieszanego gatunku, w których jest coś z satyry, nieco studyum psychologicznego, trochę histeryi, coś z newrozy, niemało przesadzonej czułostkowości i zoofilii, obcej nawet skrajnemu idealizmowi, coś z chłopomanii a najwięcej bezmyślnego pozowania na ludzi trzeźwych i postrzegaczów dosadnych. Jak ongi byronizm, przeszczepiony do nas, usadowił się w kokardzie krawata i rozwichrzonej czuprynie, tak samo dzisiejszy prąd ujawnia się śród nas w nakręcanej brutalności i robionym, w gruncie rzeczy całkiem niewinnym, bezwstydzie.

A jednak, gdyby kto w ten chaos i zamęt wprowadził jakoś rządy rozumne, możeby literatura wraz ze sztuką przestały *ronić* a zaczęły *rodzić* normalnie. Nie potrzeba do tego zaciekać się aż w metafizykę, jak Kremer lub Libelt, ale oprzeć się mocno na psychologii doświadczalnej, pozytywnej. Małoż faktów zebrali tacy, jak Taine, Veron, Spencer, Guyau, Grant Allen, Bain, Darwin?

Zapełnić tę próżnię — pokusa nader silna. Szczupłość miejsca pomaga nam przezwyciężyć ją; ale zbyt rozwielmożniło się w estetyce sekciarstwo i fanatyzm realistyczny, wsparte na takich filarach, jak Witkiewicz, Sygietyński i Bolesław Prus, ażeby nie spróbować reakcyi przeciw niemu i nie naszkicować z gruba—jeżeli już nie samej *teoryi* piękna i sztuki, to co najmniej tych jej momentów, które rzucają światło na wartość wszelkich zaściankowych i domorosłych ewangielij.

Zobaczymy, że w jego promieniach wyjdzie na jaw niespodziany zgoła rys owych sekt — *idealizm*, czystej krwi idealizm, jeno zakapturzony tak szczelnie, że go sami apostołowie nie dostrzegą.

Nie myśl, czytelniku, że dla miłości paradoksu postawiłem to na pozór cudaczne i kłamliwe określenie, lub że to zwrot dyalektyki, sadzącej się na dowcip. Podąż jeno za mną po odpowiedź na dwa naczelne pytania, w których zawrzećby się dały wszystkie sprawy palące estetyki.

Jedno niechaj brzmi: Czy sztuka, w jakiejkolwiek z swych postaci, *może być* czysto-realistyczną?

A drugie: Czy ona *chce być* czysto-realistyczną?

Komu wola, może na miejsce tego terminu podstawić „przedmiotowy“ — to w niczem rzeczy nie zmienia.

Pierwszemu z tych zagadnień nie dajmy się wlec po starych gościńcach. Na prawicy i na lewicy zgodzono się już raz ne zawsze, że skoro niemasz objektywizmu w naszem poznaniu, nie ma o nim mowy i w koncepcyi artystycznej. Każdy wyciska na swych dziełach niezatarte i wybitne piętno swej indywidualności czyli temperamentu, umysłowego nastroju, charakteru, wieku,

epoki, rasy, pochodzenia, szczebla społecznego itd. Nawet tacy bracia syamscy, jak Goncourtowie, różnili się w swych organizacyach i twórczości.

Jeden i ten sam artysta inaczej „traktuje“ przedmiot dzisiaj, inaczej jutro. „Porównajmy nagość kobiecą u Rafaela w jego trzech gracyach z nagością we freskach Farnezyjskich, a zobaczymy, w jakim stopniu może się przekształcić wzruszeniowa i umysłowa fizyognomia człowieka“ — tak powiada estetyk angielski Symonds.

Jeżeli kiedykolwiek francuzi zapominają o tem, co się im zresztą bardzo często zdarza, naówczas wpadają w sprzeczność z samymi z sobą. Oni to przecież stworzyli zasadę: *le style c'est l'homme*, oni do bałwochwalstwa posunęli cześć dla indywidualnych szkieł, po przez które artysta na świat spogląda.

Drugie pytanie wymaga dłuższego nieco zastanowienia, bo daleko rzadziej przykuwa do siebie uwagę myślicieli. Metafizycy możeby się oburzali na przypisywanie jakiejś *chęci* sztuce, która według nich dźwiga *z musu* rozmaite szczytne posłannictwa, objuczona niemi tak, że ledwo stąpać może. Dla nas jednakże jest ona przedewszystkiem fizyologiczną i duchową potrzebą—i tak też pewnie ją pojmują, o ile z natrąceń luźnych sądzić można— pozytywnie myślący p. Bolesław Prus i Witkiewicz. Wspominali oni kilkakrotnie o „przyjemności,“ „estetycznej rozkoszy“ jako o jedynym celu sztuki i jednym, niezawodnym probierzu jej utworów.

Skąd się o tem dowiedzieli? Z rozbioru rozmaitych objawów piękna. Już na szczeblu najniższym, jak np. śród patagończyków, wyplatanie koszyków z morskiej trawy o pewnych kształtach charakterystycznych—mówi znakomity nasz rysownik—płynie z pogoni za przyjemnością i upodobaniem.

Ale wnet zły duch sekty podszepnął dogmacik, przybrany w sukienkę prawa psychologicznego, o którem jakoś dotąd nikt nie słyszał. Nazwano je „zdolnością i potrzebą naśladowania kształtów i barw przedmiotów.“

Ciekawa rzecz, gdzie podpatrzyli egipcyanie formę piramid, chińczycy— kształty pagód; na kim wzorowano bożyszcza ludów wschodnich; gdzie biblia dostrzegła aniołów i archaniołów a grecy centaura? Skąd się wzięło państwo fantazyi, zaludnione barwami, jakie natura ukazuje tylko w chwilach najwyższej uroczystości, kształtami, jakich oko niczyje nie dojrzało, cnotą, przewyższającą ostatnie wyrazy poświęcenia i bohaterstwa, urodą i czarem nieziemskim, siłą muskułów bajeczną, i polotem geniuszu, tworzącym cuda? Czy wszystko to wyhodowała „potrzeba naśladowania.“

Żadną miarą, bo sama ona jest wychowanką dedukcyi, twierdzeniem *a priori*, zbudowanem na wietrze po to, ażeby nieprzejednanemu realizmowi z góry ułatwić wnioski sekciarskie. Boć jeżeli w podwalinie filozoficznej już mowa o *naśladownictwie*, cóż dopiero w prawidłach dla praktyki? Tu będzie ono wszystkiem!

Porzućmy więc lepiej ową wewnętrzną potrzebę, której po małpach zgoła nie odziedziczyliśmy, a zadowolnijmy się żądzą przyjemności, bo ona nam tłomaczy wszystko i poucza, że tylko barwy, kształty, dźwięki *przyjemne*, mile łechcące nasze umysły, pragniemy odtworzyć z chwilą, gdy się wznosimy nad okres sztuki symbolicznej, uwarunkowanej potrzebą ucieleśnienia pewnych pojęć dla celów utylitarnych.

Tylko własności ducha dodatnie, zaspakajające nasze poczucie moralne i prawa logiczne usiłujemy kopiować, zmyślać, potęgować.

Nasz ustrój duchowo-cielesny łaknie najrozmaitszych rozkoszy i podrażnień i dąży do zdobycia wszystkich, do pomnożenia tych, które daje sama natura, do rozpowszechnienia tych, które nie dla wszystkich otworem stoją. Cóż stąd wypływa? Że i sztuka, którą się posługuje w tem łaknieniu, musi być równie różnorodną i pstrą, jak nasza sfera hedoniczna. Tej jednej dążności na rozkazy zjawiło się nieprzejrzane królestwo kolorów, kształtów, dźwięków, uczuć, wzruszeń, portretów, ruchów, które zapełniają jeszcze rozleglejszą dziedzinę sztuki.

Naprzód tedy na dnie sztuki leży *tendencya*, żądza zadowoleń: od najniższych, jak dotykowe lub wzrokowe, do najwyższych, jak moralne, a Kant ze swem „upodobaniem bezinteresownem,“ na które powołuje się p. Witkiewicz — to dla nas czysta *contradictio in adjecto*.

Nieprzejednany realizm nie chce nadto widzieć, że potrzeba rozkoszy może być i bywa *tendencyjną* w wyższym jeszcze stopniu. Człowiek nietylko powtarza sobie i utrwala to, co mu się podoba, ale i żywi *aspiracye*; lubuje się estetycznie w tem, co istnieje, ale i w tem, co istniećby mogło, nietylko w *faktach*, ale i *desideratach*, nietylko w rzeczywistości, ale i w *ideale*.

Zapoznawać ten podstawowy pewnik pozytywnej estetyki — jest to popełniać pierwszy, ciężki grzech spekulacyi.

Cezary Jellenta.

LITERATURA POLSKA.

Stanowisko Kazimierza Jarochowskiego w historyografii polskiej — studyum Władysława Smoleńskiego (*Bibl. warsz.*, sierpień, 1888).

Dwa dni w podróży, opowiadanie dla dzieci, przez Stefana Gębarskiego (odznaczone na konkursie *Przeglądu pedagogicznego*), Warszawa, 1888.

Gdy przed pięciu miesiącami odgłos dzwonu, zwiastującego śmierć historyka, rozległ się po naszej ziemi, wszystkie pisma polskie zaznaczyły stratę biograficznem wspomnieniem. Niepowołani sędziowie, z encyklopedyą w ręku i gotowym na podobne przygody szablonem, przypisywali Kazimierzowi Jarochowskiemu zasady, o jakich mu się nie śniło, i prawie jednogłośnie wysławiali *porywający wdzięk stylu* zgasłego autora. Gdyby był wtedy p. Smoleński, pomieścił swą pracę w jednej z gazet warszawskich, powstałby był rozdźwięk dla współczesnych rzeczników wcale niepożądany, ale dla opóźniającej się ze sprawozdaniem, braci po piórze — bardzo pożyteczny. Chór żałobny dawno przebrzmiał, a głos, zasługujący na wyróżnienie, pojawia się osobno, i to w piśmie, które dotąd na liście swych współpracowników p. Smoleńskiego nie miało.

Na tle epoki „względnie łagodnych rządów Fryderyka Wilhelma III“ skreśla p. S. w konturowych rysach oblicze inteligencyi poznańskiej, która w czwartem i piątem dziesięcioleciu na różnych polach pracy umysłowej „zabiega żywo.“ Niwę dziejopisarską uprawiają podówczas: Edward Raczyński, Józef Łukaszewicz i Jędrzej Moraczewski. Zasłużony wydawca źródeł wraz z badaczem spraw dysydenckich i szkolnictwa polskiego są zwolennikami monarchizmu; „pan Jędrzej“ — przeciwny reprezentuje kierunek. W r. 1854, w przededniu skonu autora *Dziejów rzeczypospolitej*, występuje na widownię duchowy jego spadkobierca, Kazimierz Jarochowski. Wkroczywszy śmiałą stopą, z obfitym zasobem dokumentów, na grunt czasów saskich, przeorywa pracowicie skibę po skibie, godząc zasadę sumienności dziejopisarskiej z wiernością dla odziedziczonego po Moraczewskim sztandaru. Charakter wyświetlanych, przy pomocy pochodni archiwalnej, szczegółów historycznych osłabia stopniowo pociąg do rehabilitowania przeszłości. Na przełom jednak w pojęciach — długo czekać trzeba. Póki szlachta walczy z Augustem II, wrogo dla narodu usposobionym, republikanin może jeszcze stawać w jej obronie, kładąc zjawiska upadku moralnego na karb ducha czasu; ale gdy między rokiem 1717 a 1720 „interes króla polityczny stanął w zgodzie z dobrem, godnością, a może nawet i przyszłą Rzeczypospolitej powagą“ — szlachta zaś przyjętego względem monarchy nie zmieniła stanowiska, zdumiał się historyk, i niepostrzeżenie, ulegając urokowi prawdy dziejowej, przeszedł w nową fazę nastroju psychicznego i działalności pisarskiej. Dotąd był przeważnie lelewelistą — teraz, wyzuty z mrzonek, staje się pozytywnym przeszłości badaczem. Do drużyny wszelako historyków podwawelskich zaliczyć się nie da. „Objektywizm“ Jarochowskiego i „doktrynerya szkoły krakowskiej“ są to dwie rzeczy, wyłączające się nawzajem.

Oto główna osnowa poważnego artykułu, który w osobnej powinienby się ukazać broszurze. Uwydatniono w nim jasno i dobitnie, na odpowiedniem podścielisku historycznem, blizkie pokrewieństwo duchowe między Moraczewskim a Jarochowskim; scharakteryzowano w kilku rysach znamiennych dwudziestokilkoletnią działalność zgasłego niedawno pisarza, określono wreszcie jego siłę i wniesiony do kapitału narodowego dorobek. Pracy tej możnaby jedynie zarzucić zbyteczną treściwość i zaszczupłe stosunkowo ramy. Gdyby nie względy wydawniczo-dziennikarskie, któremi się autor krępował, rozebrałby on nam zapewne szczegółowiej kilka ważniejszych rozpraw Jarochowskiego i wyjaśnił lepiej, niż ktokolwiek, dzięki swemu dosadnemu, wypukłemu, że tak rzekę, stylowi — stosunek wielkopolanina do naruszewiczowskiej, lelewelowskiej, krakowskiej i... warszawskiej szkoły.

„Bliższa koszula ciała, niż sukmana,“ bliższa ojczyzna, niż obczyzna, własne sprawy bliżej mię obchodzić muszą, niż cudze... Prawda to niewątpliwa, dla zdrowego organizmu — pewnik niezachwiany. Wiadomo jednak skądinąd, że umysł ludzki wogóle, a dziecięcy w szczególności, znajduje upodobanie we wszystkiem, co nowe, niezwykłe, nadzwyczajne i cudowne. Chcąc młodocianą główkę zainteresować własnym krajem, musisz, wychowawco, do pewnego stopnia być czarodziejem: olśniewaj opowiadaniem o przeszłości, nie kłamiąc jednak prawdzie historycznej; wprawiaj w zdumienie widokiem cudów natury, ale ucz i objaśniaj, trzymając zdala od tumanów przesądu. Autor *Dwu dni w podróży*, p. Stefan Gębarski w części tylko pojął to zadanie. W swej wycieczce z dziećmi do Zalesie, Potoku Złotego i Olsztyna stara się być zajmującym; budzi miłość do kątów ojczystych dość zręcznym opowiadaniem legend i epizodów dziejowych, a na str. 8 wykłada jako tako teoryę załamania światła.

Oto wszystko, co można powiedzieć na pochwałę książeczki, „odznaczonej na konkursie *Przeglądu pedagogicznego*.“ Posiada też ona wady organiczne. Jedna z pomieszczonych tu legend tak się zaczyna: „Dawno to już temu, bardzo dawno, *na samym środku* tego *stawu stał dworzec* wielki, wspaniały...“ Każde roztropne dziecko prosiłoby o wyjaśnienie: jakim sposobem dworzec mógł stać na samym środku stawu? Musiał to być chyba gmach, zbudowany na palach. Gdzieindziej powiedziano, że ojciec Twardowskiego nieopatrznie dyabłu syna swego zaprzedał, a pomimo to sam Twardowski później za cenę pewnych tajemnic oddaje piekłu swą duszę, jakby nią jeszcze (bez względu na ojcowską umowę) mógł dowolnie rozporządzać. Jeżeli podanie, z ust ludu wzięte, jest niekonsekwentne, pedagog powinien je odpowiednio przerobić albo objaśnić. Zagadka nierozwiązana lub, co gorzej, niedorzeczna — trujący dla umysłu stanowi pokarm. W podróży do Zalesie

autor wszedł na drogę wykładu zjawisk świata zewnętrznego; w dalszym ciągu poprzestaje już tylko na zdawkowych krajobrazach. Podczas wycieczki do Złotego Potoka trafia się sposobność wytłomaczenia zjawiska odgłosu (echa)—i mija niepostrzeżenie. Zamiast przystępnego wykładu z dziedziny akustyki, uwzględniono cytatę z *Pana Tadeusza*. Niema w tem nic złego, co prawda; ale przecież jedno drugiemu by nie przeszkadzało. Pod Olsztynem znów dzieci spostrzegają żniwiarkę na polu. Woźnica, Jędrek dziwi się „sztucznemu przyrządowi“ — a nikt z objaśnieniem zagadki nie spieszy.

Książeczka, na pierwszych szczególniej kartach, nie jest bynajmniej wolna od błędów już to logicznych, już to językowych. „Przerzucając te grube *dzieła* (?) *podróży po cudzych krajach* (czytamy w przedmowie), bardzo mało atoli spotyka się *między niemi podróży po swoim ojczystym kraju.*“ Dziwne autor ma wymagania i dziwne odkrywa zjawiska. Wszak podróż po cudzych krajach nie może być podróżą po kraju ojczystym i naodwrót — jedno wyłącza drugie. Domyślać się też tylko można, co rozumie pod wrażeniem „dzieła podróży“ — przygody, prace dokonane, czy opowiadania o tem, co w podróży zaszło? Weźmy pod rozbiór inne zdanie. „Do dworku przychodził siwy, jak gołąb, staruszek, nauczyciel wiejski i z dziećmi na spacery chodził, gdzie ryby na wędkę łowili i pływali łódką po rzece.“ Spostrzegamy tu, oprócz drobnego błędu stylowego, polegającego na zbiegu wyrazów jednobrzmiących („przychodził“ — „chodził“): 1) niewłaściwe przejście w zdaniu okolicznościowem do innego podmiotu (on— oni): 2) pewną niejasność, spowodowaną przez wprowadzenie spójnika przysłówkowego *gdzie*. Po słowie *wątpić* (według analogii — *wierzyć*) następuje zawsze w ocenianej przez nas książce biernik z przyimkiem *w* („w którego miłosierdzie wątpię nigdy nie trzeba“). Po staropolsku mówiono: „wątpić *w czem*“ — dzisiaj większość ludzi wykształconych mówi i pisze: „wątpić *o czem.*“ Na str. 8 znajdujemy rusycyzm: „*przywodzą w drżenie* pewne warstwy wody“ (zamiast: *wprawiają* w ruch, pobudzają do ruchu, wywołują ruch, drganie).

Oprócz wykazanych stron ujemnych, dziełko „odznaczone na konkursie *Przeglądu pedagogicznego*“ przedstawia jedną jeszcze, bardzo znaczną plamę: na każdej niemal karcie straszy ono młodocianego czytelnika smokiem i dyablem, krzewiąc tym sposobem, pod zasłoną wierzeń chrześciańskich, właściwy ludom dzikim — kult „złego ducha.“

Wobec poważnych zalet (obywatelskiego ciepła i stylu poprawnego), *Dwa dni w podróży* nie zasługują na wzgardę; ale wytknięte wady nie pozwalają nam widzieć w nowym przybyszu takiej książki, któraby bez poprawek i komentarzów mogła być z korzyścią przez dziatwę czytana. Życzymy autorowi *szczęśliwszych* w dalszym ciągu wycieczek.

A. G. B.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dalszy ciąg rozmowy z p. Higginsem. — Dzień roboczy. — Wytrzymałość ludzkiej pracy. — System ograniczeń. — Nienawiść do godności człowieka. — Naiwne posądzenie. — Wypadek w Rembertowie. — Pewność przejazdu koleją Terespolską. — Brak miejsca. — Statystyka biletów wolnej jazdy w jednym pociągu. — Niezadowolenie pokojówki p. naczelnika. — Nasze przygody. — Kto rządzi? — Zagadka dziwnej gospodarki. — Sposób zwiększania dochodów.

W dalszym ciągu swej opowieści szan. W. Higgins mówił:

— Przypuszczam, że dziennikarze wasi, wodzący ciągle wzrokiem za Sarą Bernhard, Coquelinem, za całą błyszczącą i wrzaskliwą czeredą znakomitości francuskich, a ślepi na uderzające w oczy zjawiska życia miejscowego, nauczyliby się z mojej książki wiele. To też poradź pan im, jak również powieściopisarzom i dramaturgom polskim, ażeby ją przeczytali. Znajdą materyał świeży i pouczający. Tak np., przemysłowiec, którego fabrykę badałem, za *trzy* godziny dziennie pracy dodatkowej przez *siedem* tygodni nie wynagrodził swych oficyalistów ani jednym groszem. Dodać 3 godziny zajęcia do 2 lub 5 — to bagatela; ale do 12! Żaden organizm ludzki takiego ciężaru bez szkody dla siebie nie udźwignie. Słyszałem, że na waszej kolei Wiedeńskiej urzędnicy w pewnych porach roku mają roboty dodatkowe, ale pobierają za nie osobną płacę. To nic nowego — u nas dzieje się podobnie. Natomiast 15 godzin pracy, z których 3 dorzucone do obowiązkowych— takiej pompy sił człowieka stara nasza Anglia nie zna. Wiedzieć przytem trzeba, że tu maszyna utrzymywana jest w działaniu z taką niezmordowaną ciągłością, jak gdyby nie składała się z żywych, myślących i czujących ludzi, ale z martwych, stalowych lub żelaznych kół i tłoków. W naszych fabrykach te koła i tłoki odpoczywają więcej, niż tu ludzie. Wszelka, najkrótsza, bo nawet na długość jednego oddechu, przerwa — jest surowo zakazana. Pomimo najstaranniejszych badań, nie zdołałem dociec, co tu, oprócz pracy, oficyalnie czynić wolno. Nie wolno żądać urlopów i uwolnień na śluby lub pogrzeby, nie wolno chorować, przeprowadzać się, rozmawiać z kolegą, przyjmować w biurze znajomych, palić papierosów, jadać śniadań, posyłać służącego po cokolwiek na ulicę, odpierać niesłuszne zarzuty, bronić się od psa pańskiego, kiedy chce ukąsić lub ubranie podrzeć, nie wolno dyrektorowi ofiarować na imieniny grup fotograficznych, należeć do Towarzystwa wioślarskiego itd. itd. Niezmiernie charakterystycznem jest to, że pracownicy fabryki nie mogą nabywać jej wyrobów po cenach hurtowych. Dawniej wolno było kupować przynajmniej węgiel po cenach wagonowych, dziś i ten niewinny przywilej im odjęto. Najmniejsze spóźnienie się do roboty pociąga za sobą dymisyę, lub karę od rs. 1 do 15! Trzeciego dnia świąt Bożego Narodzenia lub Wielkiej Nocy, kiedy powszechny zwyczaj zawiesza czynności w innych zakładach, tu obecność wszystkich oficyalistów tak dalece jest wymaganą, że pryncypał sam wstaje wcześniej, ażeby ich dopilnować. Słowem, najbujniejsza wyobraźnia nie stworzyłaby równie bogatego systemu ograniczeń, jak ten, który tu zastosowano.

— Ile też lat najdłużej w tych kleszczach ludzie wytrwać zdolali?

— Podobno niektórzy po kilkanaście. Byli to wielcy bohaterowie. Wytrzymywali bowiem nietylko ciężkie trudy, ale i poniewierkę. Przemysłowiec angielski umie także wyzyskać człowieka, ale go nie drażni, nie obraża jego godności, owszem głaszcze z wyrachowania. Tymczasem u was spotkałem wprost jakąś bezmyślną, zagadkową nienawiść do niej. Przytoczę panu tylko parę przykładów. Właściciel fabryki pyta służącego:

— Czy *oni* posyłają cię na ulicę?

— Kto? Panowie z kantoru?

— Jacy *panowie* — krzyczy pryncypał — tu nie ma żadnych *panów*, pojmuj mnie. Mów: *oni*, moi oficyaliści — powtórz: *oni!*

— *Oni* — bąka służący.

— Tak, tak, pamiętaj: *oni*.

Na pozdrowienie powitalne: „dzień dobry“ — odpowiada *im*: „dobrze,“ a omyliwszy się, natychmiast poprawia lub pluje. Razu pewnego odźwierny wspomniał o „panu dyrektorze.“

— Co za dyrektor?! — wrzasnął pryncypał — tu niema żadnego dyrektora, tylko p. R. — powtórz: pan R. — albo nie: R. — zrozumiałeś?

Notabene ów R. jest rzeczywiście dyrektorem fabryki.

— Ależ to już graniczy z chorobą?

— Ach, pozostaw pan tę stronę zjawisk psychologom i lekarzom. Dla mnie jest obojętnem, jak się to nazywa: chorobą czy krewkim temperamentem, dość, że taka siła reguluje stosunki pracy i włada życiem człowieka prawie nieograniczenie i bezkarnie, a według nas — anglików — powinna ulegać kontroli społecznej i państwowej.

— Przecież niektóre pisma nasze odsłoniły nadużycie.

— Otóż właśnie, racz mi pan rozjaśnić pewną wątpliwość. Fabrykant ów, gdy jego działalność poddaliście krytyce, oświadczył swym pracownikom, że oni wam musieli zapłacić za swoją obronę i wspomniał nawet o 10,000 rs. Jest to posądzenie w tym wypadku zupełnie głupie, ażeby warto było je rozważać; ale czy wogóle podobne najmy zdarzały się w waszej prasie kiedykolwiek?

— Z bardzo nielicznymi wyjątkami była ona dotąd niedostępną dla takich pokus, ale samych pokus nie brakło. Zresztą dokładnie nie umiem pana objaśnić; nie wiem np., czy do tej kategoryi zaliczyć należy ofiarowanie płatnego ogłoszenia za kilkadziesiąt rs. od fabryki, której właściciel został w piśmie surowo osądzony? Przed kilku dniami nas tym dochodem chciano obdarować, ale jakkolwiek ogłoszenia leżą po za granicami przekonań redakcyi — odmówiliśmy.

— Kilkakrotnie już zauważyłem, że co u was nazywa się „materyalizmem,“ to u nas — „niepraktyczną ideologią.“ Bądź co bądź, poleć pan uwadze czytelników *Prawdy* moją książkę, kiedy ją wydrukuję.

— I owszem, ale pan zaznacz w niej, że gdyby którykolwiek z twych ziomków chciał u nas kupować wyroby platerowane, niech się zwróci do firmy Norblina, który niedawno darował kasie emerytalnej swych robotników kilkadziesiąt tysięcy rubli.

— Więc i tacy u was bywają?

P. Higgins pożegnał mnie nieco zdziwiony i zakłopotany tem, że w swym obrazie naszych stosunków fabrycznych będzie musiał dodać kilka kresek jasnych. Kreski te osłabiły mu siłę barwy czarnej, zwłaszcza grubo nałożonej na pyszny i portretowany z natury wizerunek psa „Orso,“ któremu oficyaliści fabryczni winni byli okazywać głęboki szacunek i który traktował ich z surowością i wzgardą swego pana. O tym bohaterze p. Higgins opowiadał mi bardzo ciekawą historyę, dla której jednak nie mam miejsca. Prostuję tylko mylną pogłoskę, jakoby jeden z zuchwalców odważył się umyślnie nadeptać mu na ogon i nie przeprosić.

Kilka życzliwych nagan i zdziwień rzucono w kole świadków zdarzenia i w pismach dla pewnej kobiety, która zeszłej niedzieli w Rembertowie, nie czekając zatrzymania pociągu, uchwyciła się za klamkę wagonu i wleczona długo, omal nie wpadła pod koła. Możnaby to nazwać nieostrożnością lub lekkomyślnością, gdyby ów wypadek zdarzył się na każdej innej drodze. Ale kto zna Terespolską, ten usprawiedliwi wszelkie tego rodzaju nienamysły. Każda na świecie kolej, o ile jej nie przeszkodzą t. z. „siły wyższe,“ poręcza wszystkim przejazd po określonej przestrzeni i w oznaczonym czasie. Jeżeli nie złamią prawidłowości komunikacyi jakieś zdarzenia nadzwyczajne i niespodziewane, możesz być niemal matematycznie pewnym, że przybywszy o wiadomej godzinie do Skierniewic, Czyżewa, Oświęcimia, Wersalu, Botzen, Gmunden itd., znajdziesz pociąg, który cię dowiezie do innej stacyi. Taka rachuba jest niemożliwą wobec kolei Terespolskiej, która przedewszystkiem istnieje dla posiadaczów kart jazdy bezpłatnej i która o tyle ci zapewnia miejsce w swych wagonach, ile tram-

wał lub Moszek na swej furze, przejeżdżający o pewnej porze do miasta. Będzie kącik swobodny, to znaczy: zostanie jakiś przedział wolny od przywilejowanych właścicieli biletów *gratisowych* — to cię konduktor wsadzi; nie ma— to cię zostawi. Tegoż dnia, kiedy owa kobieta rzuciła się na biegnący pociąg w Rembertowie, żywiłem złudną nadzieję dostania się do Warszawy. Kupujemy bilety na stacyi Wielkie Dęby i czekamy. Nadchodzi pociąg.

— Nie ma miejsca — powiada konduktor.

— Ależ panie, sprzedano nam bilety, musimy być w Warszawie o ósmej.

— Nic nie poradzę, zresztą może nadkonduktor usunie kogoś z *gratisowych*. Zbawiciel nasz wzywa monopolistów, prosi, tłomaczy — daremnie. Nareszcie wywalcza dla nas kącik między koszami, tłomokami i służbą pana naczelnika telegrafu ze stacyi M., który ze swym orszakiem zajmuje prawie cały wagon klasy drugiej. Dzieci rozpoczynają przerwane koziołki i skoki, a pokojówka, widocznie niezadowolona z naszego przybycia, skarży się głośno do kucharki na ciasnotę, której winien sam pan, bo dawniej brał dla nich *cztery* przedziały, a teraz wziął *tylko trzy*. Jak wiadomo wszystkim, którzy używali rozkoszy podróżowania koleją Terespolską, na jej przystankach wolno nabywać bilety jedynie do stacyi następnej. Więc w Miłosnie wysiadam i biegnę do kasy. Okienko zamknięte — stukam. Odzywa się głos z wewnątrz:

— Biletów nie sprzedajemy — miejsc nie ma.

Proszę sobie przedstawić oryginalne położenie: kolej nietylko nie dostawia nas do Warszawy, ale wywiózłszy o kilka kilometrów, porzuca. Wykładam to kasyerowi — wreszcie otrzymujemy bilety. Naokoło skargi, prośby i przekleństwa, śród których słyszę głos objaśniający: „cóż poczniemy, kiedy samych pasażerów z biletami wolnej jazdy jest *60*!“ Sześćdziesiąt *gratisowiczów*, z których niejeden zajmuje po kilka przedziałów, w pociągu niewielkim — gdzie tu może być miejsce dla płacących? Czy wobec tego należy się dziwić, że biedna kobieta, która może miała jakąś ważną potrzebę jechania do Warszawy, rzuciła się na pociąg przed zatrzymaniem go? Czy *ona* zasługuje na skarcenie? Kto i według jakiej zasady gospodaruje na kolei Terespolskiej — nie wiem, prawdopodobnie wszyscy i nikt, gdyż według wieści dyrektor zajmuje się głównie udzielaniem i podpisywaniem biletów wolnej jazdy. Ale ktokolwiek tam rządzi, winienby sobie i publiczności odpowiedzieć na to proste pytanie: jeśli droga Terespolska, której niedobory corocznie się zwiększają i pokrywane być muszą gwarancyą rządową, nie zastawiła swych wagonów w lombardach, czemu ich nie puszcza w większej liczbie i nie zwiększa swych dochodów? Nie mamy nic przeciw temu, ażeby całe jej biuro wraz z niezliczonym orszakiem posiadaczów kart wolnej jazdy codziennie podróżowało wszystkimi pociągami; ale niechże ono nie zapomina zupełnie o tych, przez których i dla których istnieje. Gazety ruskie już wielokrotnie występowały przeciw kolei Terespolskiej, czy więc taka gospodarka powinna być odpowiedzią na te zarzuty? Nie winimy gromady, spełniającej rozkazy, ale winimy dyrekcyę, która w oburzający sposób lekceważy prawa i interesy ogółu.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Jak trzeba lud poznawać i nauczać. — Emigracya łomżynianek do Zurichu. — Samonauczanie się panieńskie. — Towarzystwo wstrzemięźliwości w Radomiu i klub papuzi w Łodzi. — Dom inwalidów kolejowych. — Logika i gospodarka kolejowa. — Rzeka Czarna rozgniewana. — Ksiądz-bohater. — Egzaminy wstępne. — Cudowne dziecko.

Korespondent płocki, wróg logiki i czystości języka, od pewnego czasu pozyskał pożyteczne współpracownictwo w osobie p. Lorentowicza. Nie wszystkie jego sądy są wytrawne i nowe, ale często zasługują na uwagę, tem bardziej gdy w piśmie szlacheckiem mówi o ludzie nie po szlachecku. W ostatnich numerach tę ważną sprawę obszernie traktuje. Nie można mu odmówić słuszności, iż rzeczywista oświata ludu posuwa się naprzód bardzo wolno, że chociaż chłopi przeznaczone dla siebie książki kupują, dotąd uważają większość tych wydawnictw za zabawkę. Gdybyśmy mogli zebrać statystyczne dane co do pozytywnej korzyści z czytania książeczek — powiada p. L. — przestraszyłoby nas zestawienie ogromu nakładu pracy z rezultatami. Jeśli przyjrzymy się życiu ludu bliżej, gdy wnikniemy w całą moc przesądów, w jego na głos oświaty stwardniałą naturę, to przyznać musimy, że tyle lat pracy, ani na krok naprzód nie posunęło tych tłumów ku prawdziwej cywilizacyi. Przyczyną tego, jak twierdzi autor, zasadniczo błędy dzisiejszego nauczania. Lud nasz nie dorósł jeszcze do tej świadomości, aby mógł sam z tytułu ocenić wartość książki (zdaje mi się, że dotąd nikt jeszcze takiej świadomości nie posiada). Nie zawsze też chłop może wydać groszy kilka na pokarm dla ducha, kiedy mu nieraz braknie fizycznego. A więc tu niezbędna jest pomoc materyalna możniejszych i zmiana sposobu działania. Kmieć ma wrodzoną nieufność, szczególnie w stosunkach z klasą inteligentną, skutkiem tego nawet książkę pożyczoną lub darowaną bierze z pewnem podejrzeniem. Słuszne p. L. robi spostrzeżenie (znane wprawdzie powszechnie), że lud daje się powodować „bitniejszym“ jednostkom z pośród własnej sfery. W każdej wiosce znajdzie się jeden taki przerastający swych współbraci, a więc przez niego łatwiejsza droga do oświecania. Najważniejsza sprawa — jakie książki dać do czytania? Czy warto rozpowszechniać romantyczne powiastki o zbójach, Józkach, Walkach itp.? „Do ludu nie można przemawiać, jak do dzieci, bo chociaż naiwność jego bywa nieraz iście dziecięcą, to jest ona owocem nieświadomości. Wzgląd ten bywa pomijany zawsze. Aby umieć pisać dla ludu, trzeba go znać, a większa część pisarzów naszych nie była z nim nigdy w styczności i rządzi się jedynie intuicyą. Można przecież nie mieszkać na wsi, a jednak mieć o ludzie tyle pojęcia, aby zadawalać jego potrzeby duchowe i przemawiać doń sposobem zrozumiałym.“ Autor zalicza do środków pomocniczych w tej sprawie prace Kolberga i innych etnografów, ale to jest tylko materyał surowy. „Dopóki ci, co się czują na siłach, nie zanalizują tych przechodzących z ust do ust tworów (?) ludowej myśli i ducha, dopóty wszelkie sprawy względem oświaty będą czczymi i bezowocnymi, bo braknie im najważniejszej w takich razach rzeczy — badań na gruncie.“ Ci wszyscy, ktorym losy społeczeństwa leżą na sercu — kończy p. L. — winni najpierw sami *nauczyć się nauczania* innych, jeżeli pragną, aby ich praca nie była złudną igraszką. Myli się autor, jeśli przypuszcza, że nasze społeczeństwo nie posiada umiejących nauczać; są oni, ale muszą się zadawalniać dobremi chęciami. Samo zaś analizowanie, choćby najdrobniejsze, pieśni, podań i bajek, nie będzie jeszcze „badaniem na gruncie,“ które wymaga szerszego zakresu. P. Lorentowicz biada i zwraca uwagę na pierwsze piętro oświaty, a o suterenach milczy, tak, jakby one nie pozostawiały nic do życzenia. Poucza o sposobach pisania dla ludu, a nie wie, że sama *nauka czytania* przedstawia dla chłopa ogromne trudności. Co winne jednostki o dobrych chęciach, że Królestwo Polskie posiada tylko niespełna 2,000 szkółek gminnych na *trzydzieści tysięcy* wiosek? W tej samej sprawie wiele ciekawych uwag wypowiedział przed kilku miesiącami p. Zygmunt Gloger w *Gazecie rolniczej*. Warto, aby p. L. przejrzał je, wtedy przekonałby się, że ten etnograf i archeolog patrzał trochę niżej i uznał za jedyny skuteczny środek, pozwolenie bakałarzowania, dane wszystkim osobom, które złożą świadectwa dobrego prowadzenia się i zobowiązania, że będą nauczały tylko początków w miejscowościach oddalonych więcej, niż o pół mili od szkół gminnych *). Ponieważ do tego trzeba złożyć osobny egzamin w mieście gubernialnem przed naczelnikiem dyrekcyi naukowej, więc się nie nadają ani oficyaliści, organiści, ani weterani, dla których byłaby to za ciężka przeprawa. Za to mamy setki panien, córek obywatelskich, rozpaczających z nudów lub rozpływających się w marzeniach o bohaterach z romansów. Są także inne—z Łomżyńskiego; po ukończeniu szkół średnich, spieszą one do Zurichu. Jedne czynią to dla chleba, inne — dla próżności. Obecnie wybiera się stamtąd na medycynę do Szwajcaryi kilka córek właścicieli ziemskich. Żal mi ich i tej wiedzy średniej, która nieocenione korzyści w kraju mogłaby przynieść. Po roku lub dwóch zwiększenie liczby dezerterek z uniwersytetów zagranicznych nie przyniesie łomżyńskim stronom i krajowi ani pożytku, ani zaszczytu. Te, których nie stać na uniwersytety, ani nawet na średnie zakłady, zawiązują kółeczka samokształcenia się, ale tylko... w *jednej* miejscowości. Takie, być może, nie zawahałyby się przedstawić naczelnikowi dyrekcyi naukowej, dla podzielenia się swą wiedzą z ciemnymi.

W ostatnich czasach rozmaite „kółka“ i stowarzyszenia zaczęły wyrastać na naszym gruncie jałowym. W Radomiu grono młodych ludzi związało się słowem i przyrzekło nie używać nigdy żadnych trunków rozgrzewających oraz zaniechać na zawsze palenia tytoniu. Nadto każdy członek wstrzemięźliwych ma obowiązek moralnie wpływać na znajomych i przyjaciół, aby się do jego stowarzyszenia przyłączyli. Wytrwania im życzę. W Łodzi zaś powstaje „Towarzystwo francuskie,“ gdzie wolno będzie mówić tylko językiem nadsekwańskim. Uczestniczyć tam będzie młodzież handlowa „lepszego chowu“— jak utrzymuje kronikarz miejscowy — a zadaniem jej jest nabierać wprawy w języku obcym. Członkowie tej instytucyi są polakami i podobno haniebnie mówią po polsku.

Z poza drobnych instytucyj wysuwa się wielkie dzieło dróg żelaznych — dom inwalidów kolejowych. Jeszcze przed kilku laty drogi tutejsze zobowiązały się na rzecz zakładu płacić rocznie odpowiednie sumy. Wybrano miejscowość w okolicy Włodawy, we wsi Orchowie nad Bugiem. Na początek tylko 20 osób znajdzie przytułek. Inwalidzi otrzymają mieszkanie i całkowite utrzymanie; oprócz kawalerów znajdą tam miejsce i żonaci. Zakładem zarządzać będzie specyalna rada nadzorcza, złożona z przedstawicieli tych kolei, które na rzecz instytucyi wnoszą opłaty, oraz z członków inspekcyi rządowej. Na miejscu będzie nadzór intendenta. Pensyonarzów zatwierdzają zarządy i rada nadzorcza. Oprócz schorzałych starców przyjmowani będą i oficyaliści młodzi, którzy podczas pełnienia obowiązków ulegli kalectwu uniezdolniającemu do dalszej pracy. Otwarcie przytułku nastąpi w październiku r. b. Podobno już liczba kandydatów przewyższa cyfrę miejsc wakujących. Z tego powodu podniesiono projekt, aby zaraz w początkach roku przyszłego przystąpić do rozszerzenia zakładu lub otwarcia drugiego. Chwalebne to! Szkoda tylko że zarządy kolejowe nie kierują się logiką i cyframi, chociażby obcemi. Przy-

*) Ciekawych odsyłamy do nr. 12 *Prawdy*.

tułek dla inwalidów i jego utrzymanie razem z pensyonarzami nierównie więcej będzie kosztować, niż przyniosły i przynoszą oszczędności osobowe. Pensya, wystarczająca na utrzymanie pracownika i rodziny, dobrze urządzone kasy emerytalne, nie zmuszałyby urzędników w razie niedołęztwa, starości lub... oszczędności, wychodzić w świat o kiju żebraczym. Dziś mamy ogromny procent ludzi, okaleczonych na służbie. Statystyka wykazuje, iż wypadki na kolejach powtarzają się najczęściej tam, gdzie jest mała liczba pracowników, którym znużenie nie pozwala wykonywać dokładnie obowiązków. Na wzorowych kolejach zagranicznych utrzymanie personelu służbowego o setki tysięcy przewyższa wydatki tutejszych dróg. Za to też one lepiej tam stoją materyalnie, gdyż prawidłowo są obsługiwane, a mniejsza liczba wypadków nie naraża na straty nieprzewidziane. A u nas? Urzędnik podaje prośbę o urlop na dwa miesiące dla poratowania zdrowia w zakładzie wodoleczniczym. Zarząd mu odpowiada, że jeśli się chce leczyć, może dostać uwolnienie... w jesieni, na dwa tygodnie. Oficyalista niższy ulega śmiertelnemu pokaleczeniu, nazajutrz po przyjęciu służby. Byłby uniknął wypadku, ale go pchnięto bez objaśnienia do roboty, o której nie miał pojęcia. W Kowlu wskutek odnawiania domu, zamieszkanego przez urzędników, zaproponowano lokatorom umieścić się tymczasowo, na dwa miesiące... w wagonach. Usłuchali, bo rada była stanowczą. Cierpią nietylko urzędnicy, ale nawet interesanci, mający do czynienia z koleją Nadwiślańską. Dostawcy i odbiorcy na stacyi lubelskiej uskarżają się, że składane przez nich towary leżą podczas deszczów na rampach bez dachów, i że po nadejściu transportu stacya nie zawiadamia o tem odbiorców. Tymczasem zaś odnośna ustawa nakazuje, aby towary, przyjmowane przez kolej, bezwarunkowo były składane do czasu ich wysłania w miejscach pokrytych dachem i zabezpieczonych od wpływów atmosferycznych. Odbiorców należy zawiadamiać o nadejściu towaru i wtedy dopiero pobierać składowe, kiedy pomimo zawiadomień nie zgłoszą się po odbiór w określonym terminie.

Rzeka Czarna w Radomskiem, spokojna zwykle, obecnie gniewna i pieniąca się, nie szczędzi ubogiej ludności nadbrzeżnej, niszczy do szczętu jej zasiewy, psuje zabudowania, znosi młyny, przerywa mosty i szluzy. Lud w oniemieniu bolesnem patrzy na to wszystko, ale się nie skarży, bo nie ma przed kim, nie piśmienny, więc nie posiada korespondentów, którzyby jego rozpacz rozlali na tysiącach egzemplarzów bibuły. Mieszka tam, pośród tych pokrzywdzonych przez naturę, człowiek, odczuwający szczerze ich cierpienia, a wyraża swą miłość nie słowami lub wzdychaniem, lecz czynem. Jest to proboszcz ze wsi Dąbrowy, Pietruszyński. W chwili, gdy poziom wody w Czarnej dosięgnął takiej wysokości, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie, ksiądz ten, z narażeniem się na śmierć, rzucił się na ratunek trzem tonącym. Dwóch ojców rodziny ocalił, trzeci, uderzony siłą fali o belkę, stracił przytomność i utonął. Szkoda, że nie posiadamy więcej takich księży, ratujących z niebezpieczeństw w życiu doczesnem, a mniej—zatapiających swe owieczki w smole piekielnej po uszy, w życiu pozagrobowem.

We wszystkich miastach i miasteczkach, gdzie tylko jest jaki zakład naukowy, roją się gromady młodzieży wystraszonej egzaminami wstępnymi. Wyraźniejsza troska rysuje się na twarzach ojców i matek, a im większy ścisk u progów szkolnych, tem cięższe pognębienie. Np. lista kandydatów do klasy wstępnej w gimnazyum płockiem obejmuje pięćkroć większą liczbę chłopców, niż dla nich miejsc przeznaczono. Wybrańcy tylko ślepego losu, sprytni, albo wyjątkowo zdolni, zgnębią bojaźliwych, nerwowych i nierozwiniętych. Ta znaczna większość albo będzie czekać w niepewności rok jeszcze, albo podda się rodzicielskiemu egzaminowi z usposobień i upodobań. Znajdą się dwa zasadnicze działy: rzemiosła i sztuki piękne. Te ostatnie ponętniejsze; niech kto ogłosi, że tworzy orkiestrę z dzieci, na wzór kadetów węgierskich, oblegną go setki malców z puzonami, waltorniami, klarnetami itd. I tu się znajdą imponujący zdolnością, a nawet rzadkie talenty! Raulek Koczalski, czteroletnie bobo, pianista, wykonawca i *kompozytor*, koncertuje w całym kraju, zbiera laury, kwiaty i... pieniądze „na *dalsze studya*." Niejeden dręczony bezowocnem poszukiwaniem pracy, pozazdrości świetnego zarobku szczęśliwym rodzicom cudownego malca.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Wskutek odniesienia się jednego z kuratorów okręgów naukowych do ministeryum oświaty, wyjaśniono, że kończący instytuty nauczycielskie, jako wychowańcy specyalnych zakładów naukowych, nie mogą być dopuszczeni do egzaminów ogólnych średnich zakładów naukowych, czyli, że nie mają prawa otrzymywać patentów gimnazyalnych.

— W uniwersytecie warszawskim od 10 września r. b. rozpoczną się praktyczne egzaminy dla studentów 5-go kursu medycyny, których jest 70. Egzaminy ukończą się 13 listopada, a ci, którzy dla jakichkolwiek powodów nie zdążą na oznaczony termin, będą zmuszeni pozostać na drugi rok na tym samym kursie.

— Rada uniwersytetu wprowadza z początkiem roku akademickiego 1888/9 wykłady anatomii człowieka oraz historyi porównawczej dla studentów wydziału przyrodniczego. Pierwszą katedrę poruczono dziekanowi, prof. Czausowowi, drugą — docentowi prywatnemu, p. Mitrofanowi. Wakujące dotąd katedry obejmą: encyklopedyi nauk prawnych i politycznych p. Ziegiel, prof. historyi prawodawstwa słowiańskiego; geografii fizycznej — p. Stankiewicz, docent przy kat. fizyki; chirurgii teoretycznej— p. Efrenowskij, prof. szpitalnej kliniki chirurgicznej.

— *Mosk. Wied.* piszą, iż projekt zreformowania wyższych kursów kobiecych został ostatecznie zredagowany. Będą one miały charakter wyższych instytutów pedagogicznych, przygotowujących do zawodu nauczycielek i wychowawczyń praktycznych. Od wstępujących wymaganem będzie ukończenie gimnazyum. Otwarcie nastąpi w r. p.

Komunikacya. Departament poczt i telegrafów polecił, aby wagony pocztowe kolei Dąbrowskiej dochodziły, nie jak dotychczas, do Dąbrowy, lecz do samej Granicy, w celu szybszej przesyłki korespondencyi pocztowej.

Ministeryum dóbr państwa postanowiło na wszystkich wystawach rolniczych, z działu drobnego przemysłu wiejskiego, oprócz nagród pieniężnych, udzielać wystawcom rozmaite narzędzia i maszyny rolnicze. Te ostatnie mają być o ile możności zakupywane od włościan, trudniących się ich wyrobem.

Rada państwa, zgodnie z przedstawieniem ministra skarbu, postanowiła, że spadkobiercom zmarłego kupca służy prawo prowadzenia dalej handlu, na mocy wydanych zmarłemu dokumentów, aż do upływu ich terminu.

W Orenburgu pożar poczynił ogromne spustoszenia. Zgorzało 670 budynków i 1,300 domów. Bez przytułku zostało około 10.000 ludzi. Pogorzelcy mieszkają na placach i w polu.

Zapis p. Janusza Roztworowskiego na rzecz biednych ociemniałych, przed kilku laty zrobiony, wchodzi obecnie w życie. Pozwolono przyjąć magistratowi te ofiarę — 105,000 rs. Zapis nazywać się będzie fundacyą Janusza i Karoliny, małżonków Roztworowskich.

W Brukseli na wystawie zwrócił powszechną uwagę w oddziale technicznym model holownika automatycznego, pomysłu inżeniera, Ignacego Nowickiego, który oddawna kieruje pracami w geograficznym instytucie narodowym.

Dr. Sandecki, praktykujący w Jerozolimie, został ordynatorem ochrony dziecięcej imienia Maryi Meklemburskiej. Instytucya ta powstała przed rokiem.

Na Węgrzech w czasie orkanu utonęło 15 osób, przeprawiających się przez rzekę.

W Pradze teatr czeski w bieżącym sezonie wystawia „Straszny dwór" Moniuszki.

Ze Lwowa donoszą, iż uwięziono tam Aleksandra Strzeleckiego, właściciela dóbr Kukiszowo pod Lwowem, z powodu ciężącego na nim podejrzenia o zabicie 85-letniego starca, ks. Tchórznickiego i zrabowanie 140,000 guldenów.

Na Szląsku ulewy i burze zrządziły olbrzymie szkody. Między innemi w okolicy miasta Lubawa straty rolników obliczono blisko na milion marek, z których znaczna część przypada na ludzi zupełnie biednych.

W gub. kijowskiej ukazała się szarańcza. Tamże w niektórych powiatach panuje zaraza na bydło.

W Prasnyszu szerzy się biegunka epidemiczna. Miejscowi lekarze pozapadali na tę chorobę.

Ogrodnictwo. Zarząd ogrodu pomologicznego wniósł reklamacyę do okręgu naukowego, w której donosi, iż szkoły wiejskie zbyt często nadsyłają zapotrzebowania na krzewy i drzewa owocowe do zakładania ogrodów szkolnych. Skutkiem tego wydano rozporządzenie, aby w przyszłości wszelkie tego rodzaju żądania nadsyłano na ręce dyrekcyj naukowych, te zaś obowiązane są prowadzić ich kontrolę, oraz zakładać lub powiększać ogrody szkolne. Dopiero z upoważnienia dyrekcyi mogą być przesyłane żądania do warszawskiego ogrodu pomologicznego.

Sztuka. Komitet Towarzystwa sztuk pięknych zażądał od swoich stypendystów, kształcących się za granicą, peryodycznego nadsyłania studyów, któreby świadczyły o działalności i postępach młodych artystów.

W Lozannie akademia zamieniona będzie na uniwersytet.

Król szwedzki utworzył nowy medal zasługi na polu norweskiego rzemiosła i przemysłu.

Przeciw oszustwom. Opracowano projekt, według którego nikomu nie będzie wolno zajmować się sprzedażą papierów publicznych na raty, kto nie złoży kaucyi przynajmniej w wysokości 50,000 rs. Nadto cały interes rozprzedaży będzie podlegał ścisłej kontroli władz administracyjno-policyjnych.

— W ministeryum spraw wewnętrznych zwrócono uwagę na fałszowanie produktów spożywczych. Opracowują więc projekt, według którego osoby, zajmujące się fałszowaniem i sprzedażą takich artykułów spożywczych, oraz napojów, oprócz odpowiedzialności kryminalnej, mają podlegać znacznym karom pieniężnym.

Katastrofa. W pow. hajsyńskim, w majątku Hołodku, nastąpił wybuch lokomobili parowej. Zginęło 11 robotników.

W drezdeńskiej szkole politechnicznej utworzono katedrę telefonu.

W Kolonii odbył się kongres nauczycieli, kształcących dziatwę ociemniałą.

Największą szybkość w jeździe welocypedowej okazał w Paryżu niejaki Dubois, który w przeciągu godziny zrobił 31 kilometrów.

W Antwerpii do wyższego Instytutu handlowego uczęszczało w r. z. akademickim siedmiu polaków. Z tych jeden otrzymał dyplom z odznaczeniem.

Ubezpieczenia od wypadków kolejowych wkrótce będą wprowadzone na tutejszych drogach. Przyjmowaniem asekuracyi i wydawaniem biletów zajmować się będą specyalni agenci, utrzymujący swoje kancelarye na stacyach główniejszych. Taryfy, wypisane na tablicach, wywieszone będą w salach osobowych wszystkich trzech klas.

Ograniczenie. Stowarzyszenie spożywcze kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej uchwaliło udzielenie całej służbie kolejowej kredytu do wysokości ¼ pobieranej płacy za produkty spożywcze, a do wysokości miesięcznej pensyi na odzież i bieliznę, jeżeli uczestnik przedstawia dwóch poręczycieli. Zarząd obecnie zawiadomił całą służbę, iż ponieważ pensye obciążone są i tak różnymi długami do stracenia, a więc nadal żadne pożyczki z funduszów towarzystwa i forszusy na pensye wydawane nie będą. Tym sposobem upada możność wyzyskiwania kredytu w stowarzyszeniu spożywczem.

W Szczakowie, na granicy austryackiej, zaprowadzono przymus paszportowy. Osoby, przybywające koleją Wiedeńską, nie puszczane są w dalszą drogę

inaczej, jak za okazaniem paszportu, zaopatrzonego w wizę konsulatu austryackiego.

Bibliografia. W. Stankiewicz, *Volapük*, język międzynarodowy, komunikacyjny J. M. Szlejera. Wstęp, gramatyka, uwagi, oraz dwa słowniki, Piotrków.

— A. Strzelecki i H. Kotłubaj, *Encyklopedya rolnicza*, zeszyt VI.

Krzysztof Kolumb. Na r. 1892 przypada czterechsetna rocznica odkrycia Ameryki. Już obecnie Włochy przygotowują się do święcenia jubileuszu. Między innemi rząd włoski poruczył Towarzystwu starożytności zupełne wydanie pozostałych po Kolumbie pism, uwag i sprawozdań, których dotąd część tylko małą wydał był Nevarette.

Szarańcza czyni takie spustoszenia w niektórych okolicach Minnesoty w Ameryce, iż mieszkańcy wyznaczyli jednego dolara za każdy buszel zabitej. Skutkiem tego w ciągu kilku dni na samych tylko polach miejscowości Perhum złożono 10,000 buszli szarańczy.

Pasteur na ostatniem posiedzeniu Akademii nauk w Paryżu przedstawił wyniki badań nad ochronnem szczepieniem cholery. Podobno doświadczenia dały wyborne rezultaty. Najważniejsze wyniki badań zawdzięcza Pasteur p. Gamalela z Odesy, który prowadzi tam pracownię bakteryologiczną, na wzór pasteurowskiej.

Olbrzymi skarb. Dzienniki ruskie donosiły o odkryciu skarbu, wynoszącego, nie licząc różnych kosztowności, w samej tylko monecie złotej, 17 milionów rubli. Odnalazcą jest mieszkaniec wsi Starogródka, pow. osterskiego w gubernii czernihowskiej, włościanin, Kuźma Lewoczko.' Pieniądze w baryłkach mieszczą się w lochach pod ruinami zamku i cerkwi. Po przyznaniu włościaninowi procentu od sumy ogólnej, wyższa władza poleciła gubernatorowi czernihowskiemu rozpocząć dalsze poszukiwania. Przypuszczają, iż to może być spuścizna po Wojciechu Gasztołdzie, wojewodzie wileńskim, który w r. 1522 otrzymał starostwo z dóbr osterskich utworzone.

Zmarli. August Trefort, w Peszcie, od r. 1872 węgierski minister wyznań i oświaty. W r. 1840 przyczynił się głównie do założenia węgierskiego stowarzyszenia artystycznego, a później wspólnie ze szwagrem swoim, poetą Eötvös'em i historykiem Szalay'em wydawał miesięcznik p. t. *Budapesti Szemle*, w którym umieszczał swe prace, przeważnie ekonomiczne. W r. 1841, mając lat 24, był mianowany członkiem korespondentem Akademii węgierskiej. W r. 1843 wybrano go do sejmu węgierskiego, a w r. 1861 do Rady państwa, gdzie był jednym z najzdolniejszych i najenergiczniejszych stronników Deaka.

— Fryderyk Hofman, redaktor *Garteulaube*, w Lipsku. Był synem znanego nowelisty. Ur. w Płocku 1813 r. Utwory jego poetyczne znane są w całych Niemczech.

Cena ogłoszeń w *Prawdzie* z dniem dzisiejszym podniesioną zostaje do 10 kop. od wiersza.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Komar-Mucha. Co nam do tego rodzaju zatargów proboszcza z parafianami? Niech się do niego nie zwracają; nie będą potrzebowali mu płacić. List Pański byłby odpowiednim tylko dla pisma religijnego, gdyby którekolwiek odważyło się na krytykę działalności księżej.

Miecz. Barwie. Zdaje się, że Pan nawet nigdy poetą nie będzie.

P. M. Slaw. Noëla i Chapsala, Ahna lub inne. Do czytania z autorów nowszych: Flaubert, Balzac, W. Hugo i inni. Początkujący może poznać tę naukę z podręczników polskich: Schönberga, St. Jevonsa.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na prowincyę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Августа 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.